Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 1 (1841) ● 2–8 stycznia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 1fb3d366b7

Z URNY BLAGIERA URBANA

Grudzień 2013 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Świętej Franciszki Xawery

Gdy prezydenci i premierzy Zachodu oraz Polski nie jadą na olimpiadę do Soczi, przydają jej politycznego znaczenia, którego sport nie ma. Nadawanie go to szwindel. Z polityki coś dla ludzi i świata wynika, ze sportu nic. Gdyby z powodu wypuszczenia z łagru Chodorkowskiego prezydenci i premierzy pojechali w lutym do Soczi, też przydaliby politycznego ciężaru konkursom mięśniowym. Politycy powinni zawody sportowe w Soczi omijać także ze względów społecznych. Wydano na nie ok. 60 mld dolarów w kraju głodnym nowoczesnej techniki i mającym potrzebującą ludność. Niemoralne jest budowanie sobie piramid przez prezydenta Putina. Zwycięstwa sportowe są pawimi ogonami, które przyprawiają sobie zawodnicy i opłacające ich państwa. Taniej byłoby oskubać dla Putina czy Tuska kilka takich ptaków. Zamiast aspirować do olimpiady w 2020 r. w Krakowie, Polska może wynająć sobie Soczi i iść na gotowe.

Świętego Armanda

W polskiej polityce wszyscy rozczarowani są do siebie nawzajem. Nikt do siebie samego. Najbardziej przebiegłym i dynamicznym politykiem okazał się Leszek Miller. I to on może się okazać zbawcą przed rządami PiS. Szczęściem nie dostanie tyle poparcia, żeby zostać wielkorządcą Polski. Mam nadzieję żyć dostatecznie długo, aby pluć Millerowi do deserów w domu starców.

Świętej Adeli

Urządzam hucznego sylwestra. Zgłosiła się Daniszewska i Azor. Pudel odpadł, bo nie ma pieniędzy na składkę. Cóż, wszystko, co dostaje, przejada.

Urodzin Jezusa

Na drugie ma być zając, którego zastąpi kura, która oddała siebie na rosół. Teraz jest jej wszystko jedno. Przed zarżnięciem kurę nazwaliśmy Schetyna i wtedy posmutniała.

Urodziny Jezusa cd.

Nasi biskupi grzmią przeciw ideologii gender, lecz jej praktyki przejmują. Telewizja pokazała, że w czasie pasterki mężczyźni, jakimi są papież i hierarchowie, bawią się lalkami, a składając je do żłóbka bydłu na pożarcie, całują po pedofilsku.

Świętego Etiena

Putin jest najzręczniejszym graczem politycznym na świecie. Teraz jednym podpisem wyłączył z obiegu sprawę Chodorkowskiego. Na pewno ma ona ciekawe kulisy. Wygląda na to, że Chodorkowski wróci albo do biznesu, albo do polityki jako liberalne skrzydło putinowców. Moskiewski korespondent „Gazety Wyborczej" przewiduje, że emigrant Chodorkowski stanie się odpowiednikiem XIX-wiecznego Hercena. Hercen pisał płomienne i poczytne wtedy rozprawy, wydawał czasopismo „Kołokoł". Jak twierdzi Stanisław Cat-Mackiewicz, miał na emigracji 500 osób służby. Nawet pod tym względem Chodorkowski mu nie dorasta. Kiedy w Rosji władzy zagrożą tendencje liberalne i okcydentalne, Putin wezwie Chodorkowskiego i mianuje go premierem. Prezydent Rosji ma przemyślane dwa ruchy do przodu.

Świętego Etiena cd.

Kupiłem pudełko gumowych rękawiczek lekarskich, bo brzydzę się dotykać wydawnictw IPN. O dziwo książka nie jest antykomunistycznym wykrzyknikiem, tylko dokumentacją afery „Żelazo". W latach 70. oficerowie polskiego wywiadu weszli w spółkę z bandytami mieszkającymi w Niemczech Zachodnich – braćmi Janoszami. Wpierw trudnili się oni napadami na banki i sklepy jubilerskie, przy okazji zabijając dwóch ludzi. Potem wchodzili w zmowę z żydowskimi jubilerami. Ci wysoko ubezpieczali towar, Janosze symulowali napad rabunkowy i część kosztowności zwracali, a część zatrzymywali. Następnie założyli przedsiębiorstwo hurtowe, wzięli w komis na siedem dni ogromne ilości złota, biżuterii, srebra i przy pomocy polskiego wywiadu wywieźli tego całe wagony i ciężarówki do PRL, gdzie wywiad to brał i dzielił. Stronił od dokumentowania wyceny i inwentaryzacji tak, że ok. 65 kilo złota i brylantów, dwie ciężarówki srebra itp. trafiły do prywatnych kieszeni grupy oficerów wywiadu. Janoszowie nie mogli sprzedawać w Polsce swojej części łupu, gdyż nie zapłacili cła. Wobec tego swą dolę oddawali na powrót wywiadowi, żeby ją zalegalizował i sprzedał. Przy tej okazji bandziory powtórnie były oskubywane przez swoich wspólników – oficerów. W latach 80. generałowie Jaruzelski i Kiszczak dyskretnie zrobili porządek ze sprawcami bandyckiego zdobywania pieniędzy na operacje wywiadu i dobrobyt wywiadowców. Wyrzucili też z funkcji partyjnych ojca chrzestnego gangu gen. Mirosława Milewskiego. Poszedł na wiceszefa ceł, czyli było tak, jak gdyby złapać w kurniku lisa i kazać mu pilnować kur.

Polski wywiad, który rozwinął bandyckie umiejętności i pasje swoich wspólników Janoszów, potem surowo żądał od nich, żeby żyli zgodnie z prawem. Na marginesie poważnych interesów mających kryptonim „Żelazo" przewija się życzenie wywiadu, aby Janoszowie zamordowali Adama Michnika. Bandyci twierdzą, że odmówili, gdyż zabójca byłby zabity dla zatarcia śladów. Dwóch braci Janoszów zginęło tragicznie. Chociaż Michnik żywy, może zacierano ślady przygotowań. Książkę czyta się jak kryminał, do którego sprawcy nie poszli.

Świętego Jana

Gdy byłem rzecznikiem PRL i służbowo wyjeżdżałem na Zachód, wywiad MSW zawiadamiał, że „ktoś od nas" mnie odwiedzi. Imponowało mi, że poznam kogoś z wywiadu, a nawet że być może korzystam z ich ochrony. W Nowym Jorku pijany od rana szpieg nawet pocałował mnie w rękę. Pił pod przykrywką ONZ. Wszędzie – w Paryżu, Londynie, Rzymie, wspomnianym Nowym Jorku – rzecz sprowadzała się do tego samego. Wywiad stawiał mi w jakiejś knajpce kolację ze skromnym napitkiem. Łącznie nie przeżarłem nawet jednego najmarniejszego pierścionka z operacji „Żelazo".

Świętej Rodziny

Daniszewska kupiła z przeceny pięć żywych karpi. Oderżnęła im głowy, karpie wyrzuciła, głowy ugotowała. Przed zjedzeniem łbów wydłubała im dziesięcioro oczu, które ze smakiem spożył Azor. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Tadeusz Rydzyk** życzy każdemu z nas przyjęcia Pana Jezusa osobiście. Też jesteśmy przeciwni pośrednikom.
- **Radio Maryja** informuje o zagadkowym uszkodzeniu torów na Opolszczyźnie. Normalnie uszkodzenia torów zimą się nie zdarzały.
- **Wojsko** tworzy aplikację, przez którą będzie można zgłosić rosyjską dywersję. Aby odpalić rakietę, wciśnij jeden.
- **Melania Trump** promuje film o drodze do stania się pierwszą damą. Dostępny dla widzów 18 plus.
- **Magda Gessler** usunęła z menu swoich restauracji foie gras. A to gęś!
- **Tygodnik „Niedziela"** ostrzega przed pseudoterapeutami i influencerami. Trzeba ich egzorcyzmować salcesonem.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIĄTER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Wielka Polska katolicka

Mając na uwadze, że za niespełna dwa lata odbędą się wybory parlamentarne, a już „za chwilę" rozpocznie się kampania, chciałbym (…) zapytać, czy mogłaby Redakcja zająć się tematem stosunku (…) poszczególnych partii politycznych do świeckości państwa, tzw. rozdziału Kościoła i państwa, zlikwidowania przywilejów podatkowych, zaprzestania lub ograniczenia finansowania kościołów itp.

Szczególnie interesujące byłoby przyjrzenie się Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej, które to z pozoru nie wypowiadają się na ten temat, ale kilka lat temu, między innymi K. Bosak, S. Mentzen, G. Braun podpisali akt Konfederacji Gietrzwałdzkiej zakładający utworzenie tzw. Wielkiej Polski Katolickiej, czyli de facto teokracji, państwa wyznaniowego, przeciwnego państwu świeckiemu.

PS

Czego boi się naród

Niedawno (…) wyczytałam wyniki sondażu, w którym pytano badanych o to, czego najbardziej się boją (…). O dziwo, chyba wbrew rządowej i międzynarodowej propagandzie głównego nurtu wcale nie wyszło z niego, że Polacy najbardziej boją się wojny z Ruskimi. Okazuje się, że (…) najbardziej boimy się trudności w ochronie zdrowia. Na drugim miejscu był strach przed pogorszeniem się zdrowia, a dopiero na trzecim (…) strach przed (…) hipotetyczną wojną.

Tymczasem nasi rządzący sieją każdego dnia wojenną propagandę, ale nie robią nic w kwestii poprawy opieki zdrowotnej (…). Bardziej interesują ich zbrojenia i pierdoły o jakichś plecakach przetrwania z latarką, sucharkami i wodą w proszku niż to, co dzieje się w opiece zdrowotnej: gigantyczne kolejki do specjalistów, dantejskie sceny na SOR-ach, ludzie, którzy z biedy nie wykupują leków, bajońskie sumy, które musimy wydawać w prywatnych lecznicach, bo (…) na publiczną służbę zdrowia nie ma co liczyć itd., itp. I tak sobie myślę, że gdyby rządzący w równym stopniu przejmowali się opieką zdrowotną co sianiem propagandy wojennej (…) – co powinni robić, biorąc pod uwagę to, czego boi się naród – to mielibyśmy kwitnącą opiekę zdrowotną.

Joanna K., Warszawa

Lud z prezydentem

Zobaczyłem chyba na TVN migawkę, na której prezydent Nawrocki wycina dużą choinkę dla siebie do pałacu, w związku z tym mam pytania:

1. jeżeli to było w okolicach pałacu prezydenckiego w Warszawie, na pewno wymagana była zgoda konserwatora zabytków i zapewne urzędnika z ratusza,
2. jeżeli w lesie, to zgoda nadleśniczego i opłata za drzewo (…),
3. jeżeli bezprawne, to kara minimum 300 tys. zł lub więzienie bez możliwości amnestii – samemu sobie? Tak stanowi prawo z tego roku!

Na temat gdzie i na jakich zasadach w materiale nic nie było (niedopatrzenie dziennikarza?). Lud wiejski stara się zachować tradycję i wycina, tak jak prezydent?

A.M.

Mój kapitan

Byłem w latach 90. na spotkaniu z Donaldem Tuskiem w Gdańsku. Tematem jego było: „Czy o taką Polskę walczyli gdańscy stoczniowcy". Nasz premier odpowiedział krótko: „tak i w zasadzie na tym mógłbym zakończyć moją wypowiedź". Wtedy wywołało to mój ostry sprzeciw. Jaka to była Polska w latach 90., wszyscy wiemy. Ogólna bieda, złodziejskie prywatyzacje i głodowe zarobki. Zabrałem głos i moja wypowiedź sprowadzała się do tego, że nie o taką Polskę walczyli Polacy. Donald Tusk powiedział wtedy „niech pan założy swoją partię i walczy o władzę w Polsce". Byłem członkiem Antyklerykalnej Partii Postępu Racja, później po jej rozpadzie przez działania Palikota zostałem członkiem SLD. Teraz jestem poza polityką. Mam tylko swoją internetową partię pod nazwą Polska Partia Ateistyczna. Jest to partia towarzyska, kanapowa i taką pozostanie. Czekam obecnie na polityczny projekt Joanny Senyszyn i chciałbym być członkiem jej Nowej Fali. Podziwiam Donalda Tuska za jego cechy przywódcze, jest to najlepszy polski polityk obok Aleksandra Kwaśniewskiego. Dlatego lewica powinna rządzić Polską razem z liberałami z Koalicji Obywatelskiej.

Waldemar Szydłowski
Gdańsk

Świąteczne czytanie

Właśnie czytam świąteczny numer, przyozdobiony, sympatyczną inaczej, facjatą św. Mikołaja. Numer od początku wnosi świąteczny spokój. Pacyfistyczna przytomność AWŁ w kraju ogarniętym wojenną euforią. Rozpakowujący ze sztucznej pozłoty kapitalistyczną filantropię artykuł Damiana Duszczenki (kiedyś, pamiętam, w podobnym tonie Urban opisywał pewien bal charytatywny). No i dobrze, że Gadzinowski przypomina irlandzką klęskę głodu z połowy XIX w., dziejącą się po sąsiedzku z bogatą, sytą i pewną siebie Anglią – tak, to warto wciąż przypominać.

Cóż – czytam dalej. Wesołych świąt.

Marcin Saar
Gdańsk

eprasa.pl 1fb3d366b7

ROK z głowy



Rys. MARCIN CHUDZIK

Półtora roku rządów opartych na założeniu, iż w czerwcu 2025 r. Rafał Trzaskowski zostanie prezydentem – więc nie ma co się wyrywać z ustawami, bo Duda i tak zawetuje – dobiegło dramatycznego końca. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy swojego urzędowania Karol Nawrocki zawetował 20 ustaw – przebijając łączny wynik Andrzeja Dudy, który w dziesięć lat użył weta 19 razy. Morał z tego płynie taki, że opieranie planowania na najbardziej optymistycznym scenariuszu nie jest najmądrzejszą strategią polityczną.

Obecna partia władzy zdaje się jednak odporna na morały. Nałogowo przodujący w sondażach Rafał Trzaskowski przegrał wybory prezydenckie z Karolem Nawrockim, o którym rok wcześniej nikt nie słyszał – i nie wzbudziło to żadnej refleksji w jego zapleczu politycznym. Platforma Obywatelska w październiku przekształciła się w całkiem nową partię, zwaną zaskakująco Koalicją Obywatelską, pochłaniając jednocześnie Nowoczesną i Inicjatywę Polską – struktury, których wyłącznym przejawem istnienia były miejsca na listach wyborczych KO – i ta centralizacja jest jedyną zauważalną zmianą formacji Donalda Tuska. Korzystając z okazji, przypominamy zatem kluczowe momenty kampanii. Bynajmniej nie w nadziei, że skłoni to kogokolwiek do refleksji – z czystej złośliwości.

Kiedy w listopadzie 2024 r. Karol Nawrocki przystąpił do kampanii jako „kandydat obywatelski popierany przez Prawo i Sprawiedliwość”, chciało na niego głosować 20 proc. wyborców – czyli tylko żelazny elektorat PiS. Rafał Trzaskowski przodował w sondażach z poparciem rzędu 40 proc., był też liderem rankingu zaufania. Władza doszła zatem do wniosku, że nie ma co się wysilać – i zamiast fachowców od kampanii, socjologów czy psychologów społecznych posłała do sztabu ministrów bardzo niepopularnego rządu. Za strategię kampanijną odpowiadali: minister sportu Sławomir Nitras, minister ds. Unii Europejskiej Adam Szłapka, minister od noszenia teczki za Tuskiem Marcin Kierwiński, wiceminister obrony Cezary Tomczyk, a na okrasę ministra edukacji Barbara Nowacka, osobiście odpowiedzialna za zawalenie kampanii lewicy w roku 2019 – co doprowadziło do samodzielnych rządów PiS.

Tak więc duopol postawił przed Polakami wybór na swoją miarę. Z jednej strony: elitarny i snobistyczny symbol postępowej Warszawy, który nieudolnie starał się udawać prawaka – dystansując się od praw kobiet i osób LGBT, włączając w nagonkę na uchodźców, postulując zabranie 800 plus niepracującym ukraińskim matkom czy też (to nasz ulubiony przykład) wzywając Polaków, żeby na ulicach zaczepiali żołnierzy i „dziękowali im za służbę”. Z drugiej: kibol, co się ustawek nie lękał, w szemrany sposób przejął kawalerkę znajomego alkoholika i ponoć za młodu dorabiał jako alfons. Aha, i jeszcze napisał biografię gangstera Nikosia pod pseudonimem Tadeusz Batyr, po czym chwalił Nawrockiego jako Batyr i Batyra jako Nawrocki. Fakt, że Polacy wybrali tego drugiego, szczerze oburzył elity, ale nie skłonił ich do namysłu. Mainstreamowy komentariat starannie unika konstatacji, że Trzaskowskiego w dół pociągnął rząd, albowiem PiS zręcznie ustawił wybory w kategoriach plebiscytu „za Tuskiem czy przeciw”. Zamiast tego słyszymy, że to wszystko wina innych kandydatów ze strony antypisowskiej, którzy nie dość, że ośmielili się wystartować, to jeszcze bywali złośliwi wobec Rafała.

Najmocniej oberwało się Szymonowi Hołowni, którego kariera polityczna właśnie dobiega końca. Są tacy, którzy to świętują (patrz: „Móżdżek Roku”), ale można też spojrzeć na niego z innej strony. Jego styl prowadzenia obrad zaowocował nagłym wzrostem popularności sejmu, a także niejaką – choć przejściową – poprawą atmosfery. Hołownia podpadł wojownikom antypisu, ponieważ zjadł u Bielana kolację z Kaczyńskim – ale tak naprawdę najbardziej mają mu za złe to, że zaprzysiągł Nawrockiego. A przecież mógł opóźnić zaprzysiężenie za pomocą sztuczek proceduralnych, zostać p.o. prezydenta i podpisać rządowi kilka ustaw, których na pewno nie podpisze Nawrocki – np. tych odwracających dewastację wymiaru sprawiedliwości. Jakkolwiek kusząca byłaby to wizja – brutalna prawda jest taka, że suweren wybrał sobie Karola Nawrockiego na prezydenta, a kon-sty-tuc-ja każe uszanować jego wolę. Opowieści o tym, że opozycja sfałszowała wybory na pewno podnosiły na duchu żarliwych zwolenników koalicji – ale bądźmy poważni. Wystarczy spojrzeć na pierwszą turę, w której kandydaci rządowi dostali nieco ponad 40 proc. głosów, a antyrządowi – 55 proc.

Troje lewicowych kandydatów – Magdalena Biejat, Joanna Senyszyn i Adrian Zandberg – zdobyło do kupy 10 proc. głosów i fakt, że uznajemy to za sukces, stanowi smutny przyczynek do kondycji formacji, która dwa razy wygrała wybory prezydenckie i dwa razy parlamentarne. Paradoksalnie gwiazdą kampanii po lewej stronie stała się Joanna Senyszyn, która wynik miała najgorszy, ale za to odbiór najlepszy, zwłaszcza wśród młodzieży, która obwołała ją Imperatorką Galaktyki. Nowym szefem Nowej Lewicy całkiem niespodziewanie został Włodzimierz Czarzasty, choć miał już nie kandydować, ale wobec błagań partyjnych szeregów… We właściwym sobie demokratycznym stylu Czarzasty nagrodził wszystkich swoich potencjalnych a niedoszłych konkurentów fotelami swoich zastępców. Co ostatecznie zadaje kłam tezie o prywatyzacji partii – wszak mógł ich wszystkich z partii wypierdolić za samo myślenie o kandydowaniu. Do kompletu Włodzio wywalczył też obiecany mu dwa lata temu fotel marszałka sejmu. Tak więc najmniejszy składnik koalicji rządzącej ma dziś i marszałka, i wicepremiera, co dla Czarzastego może być źródłem satysfakcji, choć wyborcom raczej zwisa – notowania NL balansują na progu wyborczym.

Pod prawą ścianą robi się tłoczono. Wiosną silniejszy zdawał się Sławomir Mentzen, który dostał 15 proc. głosów w pierwszej turze, więc przed drugą wezwał Nawrockiego i Trzaskowskiego do Torunia i przesłuchał przed kamerą. Nawrocki łasił się jak szczeniak i odciął się od całej prospołecznej polityki PiS z ośmiu lat rządzenia – po czym z entuzjazmem podpisał wszystko, co Mentzen mu podłożył. Trzaskowski nie podpisał nic, ale miły był też wysoce, a potem razem skoczyli na piwo do mentzenowego pubu. Grzegorz Braun w wyborach prezydenckich dostał tylko 6 proc. głosów, ale pod koniec roku jego Konfederacja Korony Polskiej zaczęła doganiać Konfederację Wolność i Niepodległość. Głównie dzięki procesom, które są mu wytaczane i zapowiedziom delegalizacji jego formacji – co w oczach prawackich wyborców czyni z Brauna męczennika prześladowanego przez system, podczas gdy Mentzen jest z systemem za pan brat. Niezależnie jednak od tego, czyje w końcu będzie na wierzchu – warto odnotować, że co piąty Polak popiera formacje okrzyknięte „prorosyjskimi”.

Nieustraszony łowca przestępców Zbigniew Ziobro Nowy Rok przywitał na Węgrzech, dokąd uciekł po tym, jak sejm wyraził zgodę na jego aresztowanie w związku z 26 zarzutami dotyczącymi Funduszu Sprawiedliwości. Wśród nich: „założenie i kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą” w postaci kierownictwa ministerstwa sprawiedliwości. Z jednej strony – niewątpliwe nadużycia resortu Ziobry miały charakter polityczny, a nie gangsterski i sądzenie konstytucyjnego ministra za jego ministrowanie z paragrafu o przestępczości zorganizowanej jest niepoważnym i manipulatorskim podejściem do prawa. Z drugiej wszakże: to pisowcy wymyślili, żeby sądzić Wojciecha Jaruzelskiego z paragrafu o „kierowanie związkiem przestępczym o charakterze zbrojnym”. Mamy zatem tylko jedno zastrzeżenie: dzielenie paragrafu z Generałem to zaszczyt, na który Ziobro nie zasługuje.

Banicja Ziobry nie poprawiła wewnętrznej harmonii w Prawie i Sprawiedliwości. Teraz frakcja Morawieckiego – „harcerze” – jest na noże z frakcją „maślarzy”, nazwaną tak na cześć awantury, jaką zrobił Tobiasz Bocheński, gdy w Locie podano mu niemieckie masło. Z punktu widzenia Morawieckiego sytuacja jest nawet gorsza – wygląda na to, że utracił poparcie prezesa z czasów, kiedy był premierem. Kaczyński ponoć gra na „maślarzy”, bo martwi się rosnącą popularnością prawicowej ekstremy i uważa Morawieckiego za centrystę. Dlatego nie dopuścił go do rady programowej, wobec czego Morawiecki się obraził i nie przyszedł na dyskusję programową, a potem – o zgrozo – zorganizował własną partyjną wigilię, konkurencyjną dla Nowogrodzkiej. Posłowie PiS otrzymali telefony z centrali z informacją, że jedyna oficjalna impreza jest na Nowogrodzkiej, a „każda inna wigilia jest szkodliwa dla Polski i dla partii” – a mimo tego pięćdziesiątka pojawiła się na „afterku u Mateusza”. Nie spodziewaliśmy się, że kiedyś coś takiego powiemy, ale trzymamy kciuki za Morawieckiego.

Polska sprawowała prezydencję w Unii Europejskiej. Odbywała się pod hasłem „Bezpieczeństwo, Europo” i była głównie o tym, że Ruscy nas zaraz napadną, więc musimy dać zarobić koncernom zbrojeniowym, szczególnie amerykańskim, bo wtedy Trump może na nas spojrzeć łaskawszym okiem. Poza absurdalnymi wydatkami na broń premier Tusk domagał się od UE także „deregulacji” – czyli likwidacji standardów jakościowych, zdrowotnych, pracowniczych, konsumenckich i ekologicznych, narzucanych przez prawo kapitałowi. Rezygnacja z tych przesądów ma zaowocować zwiększeniem konkurencyjności. Tusk postanowił dać Europie dobry przykład i deregulację polskiej gospodarki powierzył Rafałowi Brzosce – założycielowi InPostu, którego osobisty majątek szacowany jest 5,7 mld zł, głównie dzięki temu, że jego kurierzy tyrają za grosze, bez umów, prawa do zwolnienia i urlopu, bo rynek pracy w Polsce jest już dostatecznie zderegulowany. Dobra wiadomość jest taka, że Unia generalnie olała deregulacyjną pasję Tuska, a Brzosce po trzech miesiącach zabawa się znudziła.

Z innych osiągnięć proeuropejskiego, demokratycznego rządu: do przyjętej w 2024 r. nowelizacji, która pozwala mundurowym bezkarnie strzelać do uchodźców, doszły kolejne postępowe inicjatywy – zawieszenie prawa do azylu, a także wypowiedzenie konwencji ottawskiej zabraniającej używania min przeciwpiechotnych. Żołnierz, który kolbą karabinu skatował leżącego na ziemi afgańskiego uchodźcę – co zostało nagrane – otrzymał od wicepremiera i szefa MON gratulacje za wzorową służbę. NIK skontrolowała Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych, który w ciągu dekady musi spłacić 403 mld zł wydane na militarne szaleństwa kolejnych władz. Jego dochody w tym okresie zaplanowano na 46 mld. W związku z dziurą w NFZ wynoszącą 25 mld rząd przymierza się do przywrócenia w 2026 r. limitów na badania i operacje, np. zaćmy – za to na zbrojenia wydamy 200 dużych baniek.

Uzasadnieniem wyżej wymienionej polityki jest to, że Polska, przez swoje niezłomne wsparcie dla Ukrainy, stała się celem „rosyjskiej agresji”. Mieliśmy do czynienia ze „zmasowanym atakiem dronowym” – kiedy koło 20 nieuzbrojonych dronów wleciało nad Polskę, a potem pocisk za milion dolków, wystrzelony przez polski myśliwiec F-16, zerwał dach domu mieszkalnego w miejscowości Wyryki. Nastąpił „akt terroru” w postaci „wysadzenia torów”, po których przejechało później osiem pociągów. Były także „próby skłócenia Polaków” poprzez wypisywanie na murach „Duda do dupy”, za co dywersanci mieli dostawać po 7 dolków za sztukę. Premier Tusk starannie informuje naród o każdym incydencie i bardzo pilnuje, żebyśmy nie przestawali się bać. Szczególnie nas przejęła informacja, że „Służba Ochrony Państwa zneutralizowała drona operującego nad budynkami rządowymi (Parkowa) i Belwederem”. Później okazało się, że dron puszczał 21-letni Ukrainiec, który swojej dziewczynie, 17-letniej Białorusince, chciał pokazać Łazienki z lotu ptaka. Ukraińca na wszelki wypadek postanowiliśmy wysłać na front metodą deportacji z UE.

Z innych faktów godnych odnotowania: Sławosz Uznański-Wiśniewski poleciał w kosmos, gdzie za 278 mln zł przeprowadził 13 eksperymentów naukowych, w tym „analizę mimiki w wideodziennikach” oraz „kontrolowanie aktywności mózgowej poprzez skupienie lub relaksację”. Anna Maria Zukowska weszła do wanny, skąd uczestniczyła w posiedzeniu Krajowej Rady Sądownictwa, co wszyscy mogli zobaczyć dzięki włączonej kamerze w telefonie. Pilność Anny Marii uzasadnia fakt, iż dieta za posiedzenie KRS wynosi tysiąc złotych, który w końcu piechotą nie chodzi; do tej pory szefowa klubu Lewicy przytuliła z KRS koło 130 tys. Andrzej Duda wszedł do literatury książką pod zupełnie nienarcystycznym tytułem „To ja”, w której odważnie zmierzył się z poczuciem niedocenienia, jakie wyraźnie towarzyszyło mu przez ostatnią dekadę: „Wydawało mi się, że na Nowogrodzkiej wszyscy będą mnie klepali po plecach, że będą przeszczęśliwi – tak jak nasi wyborcy. Dziś śmieję się z własnej naiwności i z tego, jak szybko sprowadzono mnie na ziemię. Mówiąc dosadnie, był to zjazd gołą dupą po kosie do wanny z jodyną”. Krystyna Pawłowicz przeszła do historii, opuszczając stolec sędziego Trybunału Konstytucyjnego, a na pożegnanie zdelegalizowała Komunistyczną Partię Polski. Za tą ostatnią parą wybitnych prawników będziemy bardzo tęsknić. Na tęsknotę za Anną Marią musimy jeszcze trochę poczekać.

AWŁ

MÓŻDŻEK ROKU

Kaczyński, którego partia na zwycięstwie Nawrockiego straciła, a nie zyskała? Trzaskowski, którego kariera zatrzymała się na stolcu prezydenta Warszawy? Ziobro, który spierdala przed Żurkiem, aż się kurzy?

Nie, nie i nie! Tegorocznym móżdżkiem nad móżdżkami jest Szymon Hołownia! Dwa lata temu został marszałkiem sejmu, co miało uczynić go tak popularnym, żeby wybory prezydenckie wygrał w cuglach. Mizdrzył się, kokietował, umizgiwał się, podlizywał – i nic! Zagłosowało na niego mniej ludzi niż na Brauna.

Zjazdu wizerunkowego dopełniła kolacja u Bielana, bredzenie o zamachu stanu, do którego namawiali go różni źli ludzie, oraz ochota na ostateczny wypad z krajowej polityki po ogłoszeniu kandydowania na stanowisko wysokiego komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw uchodźców.

Każdy taki kabotyn musi prędzej czy później skończyć w politycznym grobie.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 1fb3d366b7

Polemizuję z Wołk-Łaniewską, która nie wierzy w wojnę

Kainowy gen imperium


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Tekst Agnieszki Wołk-Łaniewskiej nosił tytuł „Abellizm" – co, jak mi wyjaśniła autorka, było owocem jej osobistego słowotwórstwa i miało oznaczać tyle, co ateizm, tylko w odniesieniu do casus belli. Mnie wszakże (i, jak sądzę, nie tylko mnie) przywiodło na myśl historię Kaina i Abla.

Według wielu interpretatorów Księgi Rodzaju Kain zabił Abla z zazdrości o przychylność Boga. Nie mam wątpliwości, że jeśli w dzisiejszym świecie ktoś podobną przychylność utracił, to jest nim Ameryka i cały Zachód tymczasowo pod jej dominacją. Ta konstatacja jest (o czym będę się starała tu przekonać) kluczem do zrozumienia globalnej sytuacji międzynarodowej i jej skutku: potencjalnego zagrożenia dla pokoju.

Artykuł Agnieszki Wołk-Łaniewskiej jest jednym z nielicznych w głównym obiegu tekstów, które odważają się mówić o motywacjach Rosji, a nie tylko o jej grzechach, i rozróżniać – jak słusznie przypomina – między usprawiedliwieniem a zrozumieniem. Jasne: nie usprawiedliwiamy ataku Rosji na Ukrainę. Starajmy się jednak zrozumieć nie tylko Rosję, ale szerzej cały globalny konflikt.

W moim przekonaniu nie da się także podważyć wywodu autorki, który zmierza do konkluzji, że bezpośrednim impulsem do wojny były dla Putina coraz głośniej wyrażane intencje przyjęcia Ukrainy do NATO. Zgadzam się z Agnieszką Wołk-Łaniewską w sprawie kluczowej – Putin nie spadł z Księżyca, a wojna na Ukrainie nie wybuchła w próżni moralnej, metafizycznej ani geopolitycznej. Zgadzam się też z diagnozą dotyczącą ekspansji NATO, łamania obietnic z 1990 r., logiki „kryzysu kubańskiego à rebours", a także z tezą, że Putin nie jest szaleńcem, który marzy o samobójczym ataku na państwa NATO.

I właśnie dlatego pozwalam sobie na polemikę. Bo zgoda – jeśli ma być intelektualnie uczciwa – nie zwalnia z krytycznego myślenia. Otóż myślę, że niestety wojna może się zdarzyć.

Neoliberalizm w fazie ostatecznej

Problem zaczyna się w miejscu, w którym Agnieszka Wołk-Łaniewska – powołując się na prof. Andrzeja Werblana – stwierdza, że „w sytuacji globalnej nie widać sprzeczności tej rangi, jak te, które wywołały poprzednie wojny światowe", a konflikt wokół Ukrainy to „zbyt słaby zapalnik" dla wojny globalnej. To jest moment, w którym – przy całym szacunku – można się mylić. Nie dlatego, że wojna światowa „musi" wybuchnąć. Ale dlatego, że logika systemu, w którym dziś funkcjonujemy, jest radykalnie inna niż w 1914 czy 1939 r. Wtedy wojny wybuchały w świecie rosnących imperiów. Dziś potencjalnie mogą wybuchnąć w świecie imperium upadającego; imperium, które jak w Księdze Rodzaju utraciło łaskę Boga. A to różnica zasadnicza.

Wyobraź sobie bank z rodzaju tych, które są za wielkie, żeby upaść – a jednak z powodu krótkowzroczności i chciwości swego zarządu jest na skraju bankructwa. Nie dlatego, że jest za słaby, lecz dlatego, że jest zbyt potężny – nie potrafi już wyjść z zakrętu. Taki jest dziś globalny neoliberalny kapitalizm w amerykańskiej wersji. Zabija go stworzony przez niego samego system. Jedynie biblijny cud byłby w stanie go uratować.

Cechą neoliberalnego kapitalizmu jest ekspansja aż do wyczerpania zasobów – ludzkich, naturalnych, finansowych, politycznych. To system, który nie potrafi się zatrzymać, bo zatrzymanie oznaczałoby zakwestionowanie samego sensu jego istnienia. Jeśli nie może się rozwijać intensywnie, rozwija się ekstensywnie. Jeśli nie przez handel, to przez dług. Jeśli nie przez dług, to przez sankcje. Jeśli sankcje nie działają – przez militaryzację i wojnę.

USA nie są tu wyjątkiem. Są wzorcem. Modelem globalizmu, który ratował swoje wewnętrzne sprzeczności poprzez eksport kryzysów na zewnątrz. Bretton Woods, który usytuował dolara jako walutę świata, „wolny handel", NATO pełniące funkcję ramy dla ekspansji – to wszystko był jeden mechanizm. Mechanizm, który dziś pęka.

Upadek globalnego żandarma

Przez dziesięciolecia dolar był jak grawitacja – nie trzeba jej widzieć, żeby czuć jej skutki. Globalny handel, zadłużenie, ceny surowców: wszystko krążyło wokół zielonej waluty, pompując zyski do Wall Street. Ten system Amerykanie zaczęli wysadzać od środka. Polityka sankcji finansowych i kar celnych wobec coraz szerszej grupy państw (w tym partnerów) zmotywowała Globalne Południe do przyśpieszonej reakcji: rośnie udział juana w rozliczeniach, zwiększają się rezerwy złota – także w Polsce, rozwijane są alternatywne sieci płatności. To nie jest jeszcze koniec dolara, ale jego niekwestionowana dominacja przestała być faktem.

Chiny stały się głównym partnerem handlowym większości państw świata, podczas gdy USA tracą pozycję jedynego centrum. Globalne rozłożenie produkcji i handlu zmienia się: układ przestaje być jednobiegunowy; dolar przestaje być oczywistością, a staje się jednym z kilku filarów wielobiegunowego konfliktowego systemu. Dolarowy monopol i wolnorynkowy mit są przeżarte przez własną politykę sankcji, ceł i psucia pieniądza. Wprowadzane przez Trumpa cła łamią fundamenty liberalnego wolnego handlu, który był ideologicznym rdzeniem amerykańskiego porządku gospodarczego. Kto na świecie jeszcze wierzy w amerykański model globalizacji opartej na wolnym handlu?

Wyobraź sobie imperium, które przez dekady mogło wysłać flotę w dowolne miejsce globu – niczym czyściciel kamienic, który wchodzi bez pukania do każdego mieszkania i wyprasza lokatorów. Dziś ta rzeczywistość się kończy, bo świat przestaje się panicznie bać zmęczonego hegemona. Generał Alexus G. Grynkewich, nowy głównodowodzący w Europie, publicznie ostrzega, że NATO musi przygotować się na możliwość jednoczesnych konfliktów z Rosją i Chinami około 2027 r. Dwa fronty, które dotychczas były koszmarem strategów, stają się ich faktycznym planem operacyjnym. To przyznanie wprost: USA nie są już w stanie zagwarantować pokoju „z urzędu"; mogą jedynie szykować się do desperackiej próby utrzymania się na powierzchni.

Imperium bez narracji

Kiedyś USA sprzedawały światu nie tylko towary i obligacje, lecz przede wszystkim opowieść: liberalna demokracja, prawa człowieka, wolny handel, świat oparty na zasadach. Dziś ta historia straciła wiarygodność. Badania Gallupa i analizy soft power pokazują, że globalny wizerunek USA w ostatniej dekadzie padł na pysk – poparcie opinii publicznej spadło do ok. jednej trzeciej, a Chiny zbliżyły się do podobnych do USA poziomów akceptacji. To oznacza utratę ideowej przewagi: amerykański model nie jest już oczywistym wzorem, lecz jednym z wielu kontestowanych projektów.

Wojna w Strefie Gazy, gdzie USA pozostają głównym patronem Izraela, pokazała milionom ludzi w Globalnym Południu, że liberalne wartości to ściema. Dla wielu państw Zachód przestaje być moralnym centrum, a staje się jednym z bloków walczących o wpływy.

W tym kontekście polskie elity, które wciąż opisują świat jako starcie cywilizacji Zachodu z „barbarią" Rosji i Chin, jawią się w Singapurze czy Dżakarcie jako peryferyjni wyznawcy upadającego kultu: nie przedmurze, lecz lennik, który nie zauważył, że fundamenty zamku, którego broni, dawno popękały.

Rozliczni sojusznicy USA buntują się: Francja mówi o „autonomii strategicznej", Niemcy, dozbrajając się, o własnym porządku, nawet Europa Wschodnia już nie wierzy w skuteczność paragrafu 5. NATO.

I tu dochodzimy do punktu, którego – moim zdaniem – zabrakło w optymistycznej konkluzji Agnieszki Wołk-Łaniewskiej.

Zapalnik nie musi być wielki

Historia uczy nas, że wojny światowe rzadko zaczynają się jako wojny światowe. To kaskada zdarzeń uruchomiona w sprzyjających warunkach. Dziś tymi warunkami są: rozpad dominacji dolara, kryzys ideologiczny Zachodu i pęknięcia w samym NATO. Zaczynają się jako lokalne konflikty, kryzysy peryferyjne, incydenty, które – w sprzyjających warunkach systemowych – uruchamiają kaskadę zdarzeń.

Czy w takiej sytuacji naprawdę możemy z pełnym spokojem powiedzieć: „nic się nie stanie, bo zapalnik jest za słaby?".

Paradoksalnie – to nie Rosja jest dziś najbardziej nieprzewidywalnym aktorem.

Rosja zna swoje ograniczenia i wie, że atak na NATO byłby katastrofą. Ale czy to samo możemy powiedzieć o kolektywnym Zachodzie? Imperium w odwrocie nie musi planować wojny. Wystarczy, że źle zareaguje na kryzys, przeceni swoją siłę, uzna, iż „jeszcze jeden ruch" uratuje jego dominację.

Przyjrzyjmy się faktom: wojna na dwa fronty (Chiny, Rosja) przestaje być fantazją think tanków, a staje się oficjalnym scenariuszem wojskowych. Sojusznicy USA coraz głośniej pytają o realność gwarancji. Artykuł 5. NATO – święta mantra polskiej polityki – już został praktycznie unieważniony w retoryce Trumpa. A Europa? Dzieli się i waha. Umacniają się tu nacjonalizmy, które nie będą sprzyjać skoordynowanej, spójnej reakcji wobec rzeczywistych zagrożeń.

To nie jest stabilny układ. To jest układ przejściowy. A takie układy są najbardziej niebezpieczne.

Polska: mały kamień, wielka lawina

I teraz wróćmy do Polski. Czy w głowach którejś z kolejnych politycznych ekip nie weźmie góry nasza narodowa megalomania, o której także pisze Agnieszka Wołk-Łaniewska? Ta megalomania i bohaterszczyzna nie polega dziś na marzeniach o imperium. Polega na wierze, że jesteśmy ważniejsi, niż jesteśmy, bo stoimy „po właściwej stronie historii". To my – przekonują elity – jesteśmy przedmurzem, kluczem, bastionem. I właśnie dlatego możemy stać się iskrą – nie dlatego, że chcemy wojny, lecz dlatego, że bezrefleksyjnie realizujemy cudzą strategię.

Kupujemy broń „pod Amerykanów", wierzymy w kolektywną obronę bez budowy autonomii, wydajemy setki miliardów na żelastwo, nie reformując myślenia. A gdy przyjdzie moment próby, np. w sytuacji wybuchu zapalnika na Morzu Chińskim, gdy USA będą zajęte Pacyfikiem? Gdy Europa będzie się wahać?

Wtedy ktoś w Polsce może uznać, że „Królewiec zawsze był nasz" i że lokalna eskalacja w Europie Wschodniej to akceptowalne ryzyko. Bo przecież padały po naszej stronie butne wypowiedzi. Portal naTemat zacytował np. słowa generała Skrzypczaka: „Obwód Kaliningradzki to teren, który jest pod okupacją rosyjską od 1945 r. To terytorium nigdy nie było rosyjskie, a historycznie należało do Prus oraz Polski. Teraz warto byłoby się o nie upomnieć, tak jak kiedyś o Ziemie Odzyskane". O możliwości zajęcia Kaliningradu (w razie ataku Rosji na NATO) wypowiadał się także ostatnio gen. Jarosław Gromadzki – a jest on osobą nieprzypadkową. Do 27 marca 2024 r. pełnił funkcję dowódcy wielonarodowego Eurokorpusu w Strasburgu, jednej z ważniejszych struktur wojskowych państw UE i NATO. A zatem czy można wykluczyć, że jakaś iskra rozpali w polskich „patriotach" ogień?

To nie musi być plan. To może być „tylko błąd" albo głupota pożytecznych amerykolubnych idiotów.

Wojna nie jest nieunikniona – ale nie jest niemożliwa

Dlatego mój wniosek jest inny niż u Agnieszki Wołk-Łaniewskiej, choć wyrasta z tej samej analizy. Wojny wykluczyć nie można. Nie dlatego, że Putin jej chce. Nie dlatego, że Rosja zaplanowała jej rozpoczęcie. Jeśli wojna wybuchnie, to najprawdopodobniej z powodu błędu, paniki, źle odczytanego sygnału, nadmiernej wiary w siłę, której już nie ma.

Agnieszka słusznie zauważa, że „Chiny bardzo zręcznie manewrują w tym konflikcie, dyskretnie wspierając Rosję, ale Europa jest zbyt potężnym rynkiem zbytu, żeby były gotowe zaryzykować ustawienie się w konflikcie przeciwko niej". Ale nie można wykluczyć, że wobec zaognienia sytuacji na Pacyfiku Chiny w ramach „manewru" mogą przymknąć oko – na przykład – na rosyjską akcję „zielonymi ludzikami" w obronie rosyjskojęzycznej ludności w Estonii.

I tu właśnie powinna zacząć się prawdziwa polityka, która daje nadzieję: rozbrajanie konfliktów, zanim staną się zapalnikami.

Sprzeciwiajmy się nacjonalistycznej wizji wielkiej Polski. Dystansujmy się dyplomatycznie od agresywnej polityki międzynarodowej – zrezygnujmy z logiki „albo z nami, albo przeciwko nam". Nawiązujmy korzystną współpracę gospodarczą z Dalekim Wschodem, nie oglądając się na przyzwolenie Wielkiego Brata. Miejmy świadomość, że wojna jest nie tylko przedłużeniem polityki, ale immanentną cechą wyczerpującego się neoliberalizmu. Niech otrzeźwieją ci, którzy wierzą, że Ameryka nas obroni.

Bo imperium w odwrocie potrafi podpalić świat.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 1fb3d366b7

Skrobanka za euro

Dostęp do bezpiecznej aborcji dla Polek w UE

Parlament Europejski przez lata ignorował temat aborcji, tłumacząc, że jest to sprawa poszczególnych krajów, w które Unia nie powinna się wtrącać. Idzie nowe. 17 grudnia 2025 r. PE poparł inicjatywę „My voice, my choice", która ma ułatwić dostęp do bezpiecznej aborcji w Unii Europejskiej. Jeśli wejdzie w życie, osoby z krajów o restrykcyjnym prawie antyskrobankowym będą mogły liczyć na pokrycie kosztów przerwania ciąży za granicą. Wiele wskazuje na to, że unijna pomoc dla kobiet zabetonuje aborcyjny status quo w kraju nad Wisłą.

Unijna samopomoc

Pod projektem Europejskiej Inicjatywy Obywatelskiej (narzędzie pozwala obywatelom różnych krajów UE na proponowanie zmian prawnych) „My voice, my choice" zebrano 1,2 mln podpisów na terenie całej Europy. W Polsce inicjatywę wsparło 43 tys. obywateli.

Plan zakłada utworzenie opcjonalnego, dobrowolnego mechanizmu finansowego, który pomógłby zapewnić aborcję kobietom, które nie mają do niej dostępu we własnej ojczyźnie.

Krótko mówiąc, inni członkowie Unii pokryliby koszty zagranicznej procedury terminacji ciąży, wykonywanej w ramach działającego w danym państwie systemu opieki zdrowotnej. Teraz projekt trafi do Komisji Europejskiej.

Inicjatorka projektu, słoweńska aktywistka i założycielka Instytutu 8 Marca Nika Kovač, w jednym z wystąpień przed Parlamentem Europejskim przytoczyła historię Doroty z Polski zmarłej z powodu sepsy po odejściu wód płodowych. Jak podkreśliła, kobietę zabito w polskim szpitalu, choć w innych europejskich krajach zostałaby uratowana. Podała również historię Chorwatki, której płód miał nowotwór i zagrażał jej życiu. Choć aborcja w Chorwacji jest legalna, kobieta musiała szukać pomocy w Słowenii, bo lekarze nie chcieli się podjąć zabiegu. To zupełnie tak jak w Polsce, gdzie kobiety mają dostęp do aborcji określony prawem, ale lekarze tego prawa nie respektują. Co gorsza, tych nielicznych działających zgodnie z wytycznymi usuwa się ze szpitali.



Debata o gównie

W połowie grudnia organizacja pozarządowa Legalna Aborcja dzięki uprzejmości anonimowych sygnalistów weszła w posiadanie nagrań z Konferencji Szkoleniowej „Ginekologia i Położnictwo", która odbyła się w dniach 21–22 listopada 2025 r. w Katowicach. Dziewczyny z LA, korzystając z prawa cytatu, udostępniły materiały w swoich social mediach. Od wypowiedzi lekarzy specjalistów i prawników może zmarszczyć się dupa. W konferencji brali udział m.in. prezes Towarzystwa Ginekologów i Położników prof. dr hab. n. med. Piotr Sieroszewski, genetyk dr hab. n. med. Hanna Moczulska, psychiatra dr hab. n. med. prof. Małgorzata Urban-Kowalczyk, kardiolog pediatra perinatolog dr hab. n. med. Joanna Szymkiewicz-Dangel oraz adwokat Radosław Tymiński.

„Jest coś co budzi mój niepokój. (…) Jak na jednej wizycie można rozpoznać chorobę pacjenta i to, co mu pomoże w zakresie psychiatrii? Ja tego trochę nie rozumiem, zwłaszcza dlatego, że ocena poczytalności sprawcy (sic!) – czy ktoś jest poczytalny – zajmuje od czterech do ośmiu tygodni obserwacji" – wyłuszcza na jednym z nagrań mec. Tymiński. „Jeżeli my jako lekarze, ginekolodzy, położnicy, mamy uzasadnione wątpliwości co do dokumentu, który jest nam przedstawiany – czyli np. jest to konsultacja online albo jakiś skan, albo nie znamy tego lekarza, mamy prawo zażądać konsultacji albo zwołać konsylium" – mówi Sieroszewski. „Zawsze możemy wziąć pod uwagę taką opcję, że pacjent albo pacjentka celowo chcą nas wprowadzić w błąd. Pamiętajcie, państwo, że psychiatra to nie jest taki specjalista, który czyta w myślach, dokłada ręce do skroni i wszystko wie o pacjencie" – to słowa Małgorzaty Urban-Kowalczyk. „Wiadomo, że to jest wówczas używane jako furtka do przerywania ciąży. No przecież to nawet premier naszego kraju powiedział na trawniku naszego Białego Domu swego czasu. Tak że jeżeli politycy tak opowiadają, a społeczeństwo słucha, no to później mamy taką sytuację, jaką mamy" – żali się Sieroszewski. „Ta pani mówi, pani profesor, ale ja już mam zaświadczenie od psychiatry. Nie wygląda ta pani na osobę w depresji. Nie wygląda ta pani, żeby miała sobie cokolwiek zrobić. Ja nie oglądam tych zaświadczeń. Pytam, po co pani to zaświadczenie? – A tak, na wszelki wypadek. To jest absurdalne prawo, jakie mamy. Ja bardzo współczuję kolegom położnikom" – przytoczyła anegdotkę Joanna Szymkiewicz-Dangel.

Skrajnie antypacjenckie, niezgodne z wytycznymi WHO i zwyczajnie obrzydliwe? Tak, a to dopiero początek balu.

Polskie piekło

Hanna Moczulska to genetyczka ze szpitala w Łodzi, pod której „opieką" była Anita, kobieta, której płód cierpiał na najgorszą odmianę łamliwości kości i której historię kilka miesięcy temu poznała cała Polska. Anita trafiła pod skrzydła Piotra Sieroszewskiego, a ostatecznie zamknięto ją na oddziale psychiatrycznym pod kierownictwem Małgorzaty Urban-Kowalczyk. Radosław Tymiński napisał zaś bardzo sprzyjającą Piotrowi Sieroszewskiemu interpretację przepisów po medialnym nagłośnieniu historii Anity. Aborcji płodu dokonała w szpitalu w Oleśnicy ginekolog dr n. med. Gizela Jagielska.

2 grudnia Prokuratura Okręgowa we Wrocławiu umorzyła postępowanie w sprawie aborcji dokonanej w 37. tygodniu ciąży w szpitalu w Oleśnicy. „Jeśli są spełnione tzw. przesłanki ustawowe, to każda metoda przerwania ciąży, zgodna z aktualną wiedzą medyczną i na którą wyraziła zgodę pacjentka, jest dopuszczalna i legalna. Także asystolia płodu" – można przeczytać w uzasadnieniu decyzji. Również 2 grudnia 2025 r. podczas wysłuchania w Parlamencie Europejskim europosłanka Lewicy Joanna Scheuring-Wielgus przypomniała, że 95 proc. aborcji wykonywanych przez Polki stanowią te wykonywane metodą farmakologiczną. Dodała, że polskie kobiety potrzebujące opieki aborcyjnej muszą polegać na wsparciu organizacji pozarządowych, ponieważ lekarze w Polsce boją się przerywać ciąże. Stwierdziła, że niemożność przerwania ciąży przez Polki w szpitalach jest „hańbą dla jej kraju". Lista hańby jest o wiele dłuższa.

Lekarze Gizela Jagielska i jej mąż Łukasz Jagielski nie otrzymali przedłużenia kontraktów w szpitalu w Oleśnicy. Z zatrudnienia lekarki zrezygnował także po antyaborcyjnych protestach szpital w Ostrzeszowie. Pacjentki, które zjeżdżały do Oleśnicy z całej Polski, zostały bez pomocy.

Natalia Broniarczyk z Aborcyjnego Dream Teamu napisała w social mediach organizacji, że w Polsce kobiety nie umierały przez złe prawo, ale przez postawę lekarzy. I zaproponowała rozwiązanie. „Gdyby Ministerstwo Zdrowia stworzyło program czempionów aborcyjnych, w ramach którego lekarze wykonujący aborcję zgodnie z prawem byliby wynagradzani finansowo i resort stanąłby murem za tymi lekarzami przed atakami antyaborcjonistów, Ordo Iuris, nagonką prawicowych mediów i przed Grzegorzem Braunem, to może coś by się w końcu zmieniło" – stwierdziła. Patrząc na poziom debaty specjalistów i uwiąd decyzyjny rządzących polityków, pozostaje mieć nadzieję, że z tak silnym wsparciem ze strony Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej trudniej będzie zrezygnować z podjęcia działań lub w jakikolwiek sposób obejść żądania inicjatywy.

IDALIA DUBICKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Są ludzie, którzy pasują do każdej ściany, oraz są ludzie, których w salonie wstyd przyjmować, ale i na deszcz za drzwi szkoda wyrzucić. Prof. Andrzej Zybertowicz nie należy do żadnej z tych grup, ale zwykle tak się jakoś umie zakręcić, żeby znaleźć się za określoną – koniecznie prawą – kulisą sceny politycznej.

Ostatnio znów pokazał zza niej swoją twarz, bo został społecznym doradcą prezydenta Nawrockiego. Do tego grona (gdzie już są takie postacie jak Andrzej Nowak i Jacek Saryusz-Wolski) ściągnął go Cenckiewicz, kolega-członek niesławnej Państwowej Komisji ds. badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022. Zanim komisja ta z hukiem została rozwiązana, Zybertowicz zdążył ogłosić, że „komisja rekomenduje, aby Donaldowi Tuskowi, Jackowi Cichockiemu, Bogdanowi Klichowi, Tomaszowi Siemoniakowi, Bartłomiejowi Sienkiewiczowi nie były powierzane stanowiska publiczne odpowiadające za bezpieczeństwo państwa".

Fucha społecznego doradcy Nawrockiego kopnęła Zybertowicza również dlatego, żeby osłodzić mu gorycz wyroku Sądu Apelacyjnego z Warszawy, który nakazał profesorowi przeprosić prawie 40 uczestników obrad Okrągłego Stołu za słowa wypowiedziane w roku 2019: „Do dzisiaj wielu obserwatorów i komentatorów Okrągłego Stołu nie uświadamia sobie, jak głęboka prawda była w komentarzu Andrzeja Gwiazdy, gdy powiedział: podczas [obrad] Okrągłego Stołu władza podzieliła się władzą ze swoimi własnymi agentami".

Rok próby

Homofobia na ludowo

Na samym finiszu prac nad rządowym projektem ustawy ogryzkowej (o statusie osoby bliskiej zamiast o pełnej równości małżeńskiej lub przynajmniej o związkach partnerskich) PSL jeszcze musiał dołożyć do pieca. Resort od żołnierzyków i armatek – kierowany przez szefa ludowców Władysława Kosiniaka-Kamysza – wniósł w specjalnie przesłanym do Rady Ministrów stanowisku propozycję, by zmienić projekt tak, że osoby zawierające u notariusza umowę o statusie osoby bliskiej zyskiwałyby przysługujące im z tego tytułu prawa dopiero po roku.

Ten kuriozalny wtrysk homofobii został w środowiskach LGBT odebrany jako kolejny policzek w twarz tysięcy par jednopłciowych, które daremnie czekają na możliwość zawarcia w Polsce małżeństwa lub choćby związku partnerskiego. Nie dość, że z tuskowych obietnic przedwyborczych zostały marne resztki, nie dość, że PSL od początku torpedował równość małżeńską i związki partnerskie, nie dość, że na koniec proponuje się parom jednopłciowym jakiś żałosny status osoby bliskiej na mocy umowy notarialnej i bez zmiany stanu cywilnego, to jeszcze do tego minister wojny chce dla tych par okresu próby.

– To tak, jakby powiedział nam, że państwo nie dowierza szczerości naszych uczuć, nie dowierza temu, że możemy tworzyć trwałe związki oparte na prawdziwych więziach i musi je sprawdzać, nim da nam zgodę na wspólne pożycie – powiedział nam zaprzyjaźniony gej. – Ale skoro państwo chce nas obdarzyć jakąś namiastką praw zamiast pełną równością, to niech się łaskawie odwali od jakości i trwałości naszych związków.

My ze swej strony dodamy pytanie, czy w sprawie kompletnie nieistotnej z punktu widzenia obronności państwa Ministerstwo Obrony w ogóle musi zajmować jakieś stanowisko i zgłaszać jakiekolwiek pomysły. Wszak o stanowisku na przykład Ministerstwa Zdrowia w sprawie zakupu kosztownych zabawek militarnych dla ministra Kosiniaka-Kamysza jakoś nic nie słyszeliśmy. A przecież mogłoby takie być. Nawet powinno, bo jesteśmy zdania, że wobec permanentnego braku kasy na opiekę zdrowotną wydawanie takiej kupy szmalu (blisko 190 mld zł w 2025 r.) na zbrojenia to zbrodnia na społeczeństwie i zdrowym rozsądku.

Propozycja resortu obrony w kwestii statusu osoby bliskiej to nic innego jak dalsze utrudnianie uchwalenia jakiejkolwiek formy związków dla par jednopłciowych. To pokaz hipokryzji bigota Kosiniaka-Kamysza, który najpierw obiecuje taką formę związków, która będzie możliwa do zaakceptowania nawet przez neoprezydenta, a potem usiłuje ją storpedować.

Z jakiego powodu uważa on, że związki par jednopłciowych wymagają jakiegoś szczególnego sprawdzania? Dlaczego pan wicepremier i minister dwojga nazwisk nie domaga się okresu próby dla wszystkich małżeństw? To pytania o tyle zasadne, że



ustawową próbę stałości związków proponuje facet, który jest rozwodnikiem. A więc sam nie potrafił, a chce kontrolować innych.

Jakkolwiek propozycję resortu obrony na posiedzeniu rządu spuszczono do kanału, to jednak nie sposób jej nie odnotować. Albowiem wyczuwamy w niej zapowiedź tego, że PSL będzie bruździł nadal, aż do skutku. Wcale nie zdziwilibyśmy się, gdyby na przykład w sejmowym głosowaniu ustawy o statusie osoby bliskiej PSL pod byle pretekstem (jak choćby nieuwzględnienia tego pomysłu) głosował przeciw. Co praktycznie oznaczałoby jej uwalenie.

Poparcie dla PSL szoruje po dnie. Coraz wyraźniej widać, że partia, która reprezentuje już tylko samą siebie, w składzie kolejnego sejmu już się nie znajdzie, jeżeli do wyborów pójdzie sama. Jedyną możliwością załapania się jej czynowników na poselskie apanaże jest jakaś koalicja. Trzeba więc odpowiednio się wykazać, bo też coraz wyraźniej widać, że PSL-owi może przyjść szukać tych koalicjantów po prawej stronie. A kto tam weźmie sojuszników, którzy zrobili dobrze tęczowej zarazie?

Sam Kosiniak-Kamysz wciąż czeka na wyniesienie na ołtarze swojej ciotki Stefanii Łąckiej, której proces beatyfikacyjny jest w toku. Jasne jest zatem, że pan prezes PSL-u nie zrobi nic, co byłoby wbrew hierarchii Kościoła kat. A w biskupich głowach – jak powszechnie wiadomo – nie mieszczą się żadne jednopłciowe związki partnerskie. To przecież oczywiste, że święta ciotka pierwszego chłopa III RP jest ważniejsza od potrzeb i praw tysięcy par jednopłciowych.

EDYTA BAKER

eprasa.pl 1fb3d366b7

Cokół dla prezesa

Ich prezydent, ich premier i wszystko też

Do tej pory polscy liderzy, tworząc swe wyborcze drużyny, działali rutynowo. Byli przewidywalni. Na ponad rok przez wyborami parlamentarnymi cierpliwie scalali swoje formacje polityczne. Publicznie godzili się z rozłamowcami, wzywali w mediach do zgody wewnątrzpartyjnych opozycjonistów. Zjednoczone na nowo formacje polityczne staranne ukrywały niedawne spory personalne i programowe.

Pamiętając, że obowiązujący w Polsce system przeliczania otrzymanych głosów wyborców na uzyskaną liczbę parlamentarnych mandatów premiuje duże komitety wyborcze, konkurujące partie starały się iść do wyborów szeroką polityczną ławą. Taktycznie unikano też wskazywania ewentualnych przyszłych koalicjantów. Zwłaszcza od kiedy kaczyński PiS nie potrzebował ich do osiągania większości parlamentarnej, do rządzenia. Podziały partii na frakcje, rozłamy personalne, pączkowania nowych kół poselskich dokonywały się dopiero po wybraniu nowego sejmu i senatu. Po zaprzysiężeniu nowych parlamentarzystów. Kiedy żaden z liderów politycznych nie mógł im zabrać mandatu, uposażenia, pieniędzy na biura parlamentarne. Wyrzucić z polityki.

Teraz idą zmiany. W ciągu dwóch nadchodzących lat, jeszcze przed parlamentarnymi wyborami roku 2027, może dojść do fundamentalnych partyjnych rozłamów, nowych koalicji wyborczych, zmiany politycznych liderów.

Teraz jest wojna

Takie zmiany wymuszają wojny. Rosyjsko-ukraińska toczona w sąsiedztwie. Pewnie długoletnia, bo przecież zapowiadane przerwanie walk militarnych na linii frontu trwałego pokoju nie przyniesie. Wojna przeniesie się na inne fronty. Gospodarczy, propagandowy, terroru na terytoriach wroga. Polska jako największe państwo wschodniej flanki NATO i Unii Europejskiej, sojuszników Ukrainy, będzie dalej pośrednio uczestniczyć w tej wojnie. To wymusi zwiększone, stałe wydatki na zbrojenia, sektor militarny. Wymusi też militaryzację polskiej polityki, gospodarki, życia społecznego. Zmiany w prawie, organizacji komunikacji publicznej, wzmożone kontrole wielu sektorów dokonywane dla zwiększenia bezpieczeństwa obywateli, systemowo doprowadzą do ograniczania swobód i wolności obywatelskich.

Jeszcze szybciej militaryzuje polską politykę wojna dwóch ośrodków władzy. Prezydenckiego dużego pałacu z małym pałacem, czyli rządem RP. Wojna czasem widowiskowa, bo spersonifikowana do medialnego naparzania się dwóch liderów kreowanych na politycznych samców alfa. Prezydenta Nawrockiego i premiera Tuska.

Dotychczasowi prezydenci RP nie używali urzędu prezydenta do budowania własnej partii. Jedynie Lech Wałęsa w 1993 r. doprowadził do powstania Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform, który w wyborach we wrześniu 1993 r. zyskał jedynie 16 posłów i dwóch senatorów. Wynik poniżej ambicji prezydenta, który szybko zaczął dystansować się od swego dziecka politycznego. Blok nie zapewnił Wałęsie reelekcji w 1995 r. i podzielił się na kilka ugrupowań. Przepadł w kolejnych wyborach.

Następca Wałęsy Aleksander Kwaśniewski kreował się na ponadpartyjnego. Wspierał lewicę, miał tam grono swych zwolenników, ale formalnie nie stworzył własnej partii. Za co był potem przez grono współpracowników krytykowany. Jego następca Lech Kaczyński był politycznym podwykonawcą. Wykonywał zadania wyznaczone mu przez brata Jarosława, który własną partię już miał.

Bronisław Komorowski był bardziej prawicowy niż wspierająca go Platforma Obywatelska, ale przywództwo premiera Tuska uznawał. Nie intrygował.

Podobnie zachowywał się Andrzej Duda. Własnej partii nie założył. Choć był do tego namawiany, choć musiał znosić lekceważenie go przez prezesa Kaczyńskiego. Ze Zjednoczoną Prawicą lojalnie współpracował.

Karol Nawrocki od razu ogłosił się prezydentem genetycznych Polaków, czyli większości narodu. Powołując się na ową zmitologizowaną większość, zaczął wprowadzać rządy prezydenckie, sprzeczne z obowiązującym konstytucyjnym systemem parlamentarno-gabinetowym.

Wódz opozycji

Wypowiedział też wojnę premierowi Tuskowi i jego koalicjantom. Przyjął rolę lidera opozycji, także tej parlamentarnej. Zaczął demonstracyjnie blokować swymi wetami prace koalicji rządzącej. Składane przez niego i zapowiadane projekty jego ustaw w praktyce politycznej tworzą harmonogram prac opozycji parlamentarnej. W ten sposób zmarginalizował rolę dotychczasowego lidera opozycji prezesa Kaczyńskiego. Zyskał też pośrednio wpływ na działalność opozycyjnych konfederatów.

Większość prawicowych opozycyjnych liderów uważa, że kaczyński PiS nie zdoła w wyborach 2027 r. uzyskać wyniku dającego mu samodzielne rządy. Zgodni są, że prezes Kaczyński nie ma zdolności do stworzenia rządzącej koalicji z konfederatami i innymi prawicowymi ugrupowaniami. Wielu z nich obawia się, że prezes zadowoli się przywództwem silnej opozycyjnej partii w przyszłym parlamencie. A oni chcieliby znów rządzić!



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Zwyczajowo w PiS to prezes Kaczyński decyduje o kształcie list wyborczych tej partii. To on przyznaje kandydatom na parlamentarzystów miejsca uznawane za biorące mandaty. To on eskortuje te listy do Państwowej Komisji Wyborczej.

Praktyka pokazała, że potrafił po drodze zmienić zaakceptowaną już kolejność nazwisk na listach. Może też w ostatniej chwili skreślić z listy kandydatów uważanych za nielojalnych. Pozostawić na biorących miejscach swych najwierniejszych żołnierzy. Politycznych weteranów. Generałów minionych wojen.

Dlatego młodsze generacje Zjednoczonej Prawicy postanowiły jeszcze przed wyborami parlamentarnymi przejąć kontrolę nad PiS. Dać nowy impet tracącej w sondażach formacji. Kandydata na nowego lidera zrewitalizowanej polskiej prawicy upatrują w prezydencie Nawrockim. Pod jego patronatem mógłby jeszcze przed wyborami 2027 r. powstać blok wyborczy PiS + ziobrowcy + konfederaci + mniejsze ugrupowania.

Perspektywa zdobycia władzy skłoni przyszłych koalicjantów do sklecenia wspólnego programu wyborczego. Taktycznego przemilczania różnic. Największym problemem będą spory personalne. Kto zostanie wskazany na przyszłego premiera skonfederowanej polskiej prawicy? I na jaki pomnikowy cokół postawić prezesa Kaczyńskiego. Jak go odsunąć od władzy, nie zabijając od razu?

Ich prezydent, ich premier

Jeśli skonfederowana polska prawica wygra wybory w 2027 r., a przedwyborcze sondaże takie szanse jej dają, to będziemy mieli ultraprawicowego prezydenta Nawrockiego, prawicową większość w sejmie i prawicowego premiera.

O wskazanie kandydata na takiego premiera jeszcze przed wyborami walczą obecnie dwie frakcje w PiS: „harcerze" optujący za Mateuszem Morawieckim i „maślarze" zwalczający kandydaturę Morawieckiego. Kto kandydatem będzie, zdecydować powinien prezes Kaczyński. Ale ten taktycznie zwleka. Obserwuje, kto w jakiej frakcji jest, kto pozostaje poza frakcjami. Liczy siły frakcji i jeszcze niezdecydowanych. Dlatego spekuluje się, że „harcerze" Morawieckiego nie poczekają na wskazanie prezesa, tylko doprowadzą do rozłamu w PiS. Już w roku 2026. Zachętą dla nich są sondaże przedwyborcze, które prognozują, że połowa obecnych wyborców PiS zagłosowałaby na nową partię firmowaną przez Morawieckiego. To już na początku daje im dwucyfrowy wynik.

Jeśli frakcja Morawieckiego połączy się z przynajmniej z którąś z trzech frakcji konfederatów, to może liczyć na trzeci, a nawet drugi wynik w przedwyborczych sondażach. Zaraz po Koalicji Obywatelskiej.

Wtedy do akcji wkroczyłby prezydent Nawrocki. Ten w imieniu narodu polskiego wezwałby do zjednoczenia wszystkich prawicowych polskich patriotów. Zaprosiłby do wspólnego komitetu wyborczego cały PiS, wszystkie odłamy Konfederacji, nawet wyjętych spod prawa ziobrowców. Ten prezydent mógłby wykonać też przyjazne gesty wobec stygmatyzowanych konfederatów Brauna. Wezwać ich, aby wyrzekli się wiary w prezydenta Putina. W zamian może przyrzec, że nie będzie już uroczystych chanuk. Taki prezydent mógłby przesłać też „znak pokoju" poszukującym koalicjanta patriotom z PSL. Przypomnieć, że z wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem łączy go patriotyczna miłość do żołnierskiego munduru.

Radykałowie na prawicy wzywają do szybkiego zjednoczenia, bo premier Tusk uczynił z Koalicji Obywatelskiej swoje karne i coraz bardziej bitne wojsko. Jego śladem poszedł marszałek Czarzasty. Też scalił Nowa Lewicę i wszedł w starcie z prezydentem Nawrockim. W rządzącej koalicji jedynie Polska 2050 jeszcze nie przeszła militaryzacji. Zatem gotujcie się na wojny.

Szczęśliwego Nowego Roku!

PIOTR GADZINOWSKI

Prąd z atomu w każdym domu

Polska energetyka w rękach fantastów

Prawdziwym darem od losu jest kierowanie sterem kraju przez premiera Tuska. Mamy początek roku 2026 i zgodnie z jego zapowiedzią z 13 stycznia 2009 r. od pięciu lat naszą gospodarkę i domy napędza rodzima energetyka jądrowa. Bez niej zabrakłoby elektryczności w gniazdkach, a przemysł ograniczałby produkcję przez niedobory energii. Było to wszak jedyne wyjście, bo zużycie energii elektrycznej sięgnęło właśnie teraz 243 terawatogodzin – dokładnie tak, jak prognozowała Agencja Rynku Energii publikująca raporty dla rządu.

A nie, chwileczkę, chyba sprawy potoczyły się nieco inaczej.

Groza jednomyślności

Nie mamy elektrowni jądrowej, a jakoś na brak prądu gospodarstwa domowe i przemysł nie narzekają. Alarmistyczny raport z 2008 r., autorstwa eksperta Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej prof. Andrzeja Strupczewskiego – mówiący, że bez atomu już od początku obecnej dekady czeka nas pogłębiający się deficyt energetyczny – jakoś się nie ziścił. W 2024 r. zapotrzebowanie na energię elektryczną w Polsce sięgnęło nie więcej niż 170 terawatogodzin. Bez – rzekomo koniecznego – atomu w 2022 r. byliśmy eksporterem prądu.

Tymczasem media już rozpala debata o drugiej dużej elektrowni atomowej, nie wspominając o kilku modułowych. Jak tak dalej pójdzie, to Tusk zapowie bloki atomowe w każdym powiecie. Energetyka jądrowa cieszy się pełnym poparciem wszystkich sił politycznych. Łączy nie tylko Romana Giertycha z Januszem Kowalskim, ale i Sławomira Mentzena z Adrianem Zandbergiem.

I to wyraźnie pokazuje, że nie należy jakoś szczególnie bać się polityków, którzy – zwykle na pokaz – strasznie się kłócą. Robi się naprawdę groźnie, gdy wszyscy śpiewają na jedną melodię. Taka melodia, jeśli się w nią dobrze wsłuchać, często brzmi fałszywie.

Pamiętam, jak kiedyś pewien, pożal się Boże, profesor proponował promowanie energetyki jądrowej przez makatki (uwaga dla młodszych Czytelników – takie dekoracyjne szmatki do wieszania na ścianach lub rozkładania na meblach) z napisem: „Prąd z atomu w każdym domu". Rodzi się jednak pytanie, ile osób w tych domach będzie i jaki odsetek z nich będą stanowić emeryci.

Co z tą demografią

Karol Marks krytykował swoich przeciwników politycznych za to, że tu widzą przyczynę, tam widzą skutek, a nie są w stanie objąć rozumem całości. To samo da się powiedzieć o polskich politykach. Z jednej strony pieją z zachwytu nad Polską atomową, mającą nam zapewnić bezpieczeństwo energetyczne; z drugiej rozdzierają szaty nad katastrofą demograficzną i gwałtownym starzeniem się polskiego społeczeństwa. I bynajmniej nie dostrzegają uderzającego związku pomiędzy tymi dwiema kwestiami – choć oczywiste jest, że dynamika demograficzna jest niezwykle istotna w kontekście zapotrzebowania na energię elektryczną.

Tu przyda się odrobina marksowskiej dialektyki, czyli myślenia w kategoriach całościowych, skupiania się na dynamice wielkich procesów społecznych, kierunku przemian.

Nie trzeba mieć Nobla z ekonomii, aby wiedzieć, że na skalę zapotrzebowania na energię elektryczną wpływają dwa podstawowe czynniki: liczba odbiorców i to, ile na głowę potrzeba owej energii.

Rozwijając projekty energetyczne – atomowe, gazowe, turbiny wiatrowe na Bałtyku, że o fotowoltaice nie wspomnę – państwo polskie kieruje się zasadą: ma być na bogato. Niczym Freddie Mercury w piosence „I want it all" z uporem lepszej sprawy zdaje się powtarzać niczym mantrę: chcę wszystkiego i chcę tego natychmiast.

Akademicki podział pracy nie pozwala demografom wypowiadać się w kwestii wpływu spadku liczby ludności i starzenia się społeczeństwa na zapotrzebowanie na energię elektryczną, a eksperci od energetyki nazbyt często żyją w świecie urojonym, w którym tego prądu potrzeba wciąż więcej i więcej. Jeśli wczytać się w ich wcześniejsze prognozy, twardo zweryfikowane przez rzeczywistość, należałoby machnąć ręką na dzisiejsze alarmistyczne przestrzeganie przed deficytem energetycznym w dalekiej przyszłości.

Co ciekawe, GUS musiał zweryfikować prognozę liczby ludności do 2060 r. Uczynił to w sposób wręcz szokujący, choć boleśnie przekonujący. Prognoza z 2023 r. mówiła, że do 2060 r. ludność Polski zmaleje do 30,9 mln osób. Teraz państwowi demografowie w jednym ze scenariuszy przewidują, że będzie nas jeszcze o 2,5 mln mniej – czyli jedynie 28,4 mln. Oczywiście GUS podkreśla, że nowa symulacja jest eksperymentalna i że nie zastępuje oficjalnej prognozy.

W tym kontekście rodzi się oczywiste pytanie: jeżeli liczba mieszkańców naszego kraju zmniejszy się o prawie 9 mln ludzi, to czy nie wpłynie to znacząco na zapotrzebowanie na prąd elektryczny?

Warto jednak pamiętać, że spadek liczby ludności – jakkolwiek drastyczny – sam w sobie jest ważny, ale pokazuje jedynie wycinek rzeczywistości. Fundamentalną rolę odgrywa również struktura demograficzna populacji.

eprasa.pl 1fb3d366b7

Tusk idzie po sprawiedliwość, ale czy dojdzie?

Bitwa o trybunał



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wielka Izba Trybunału Sprawiedliwości w Luksemburgu (TSUE) orzekła, że Trybunał Konstytucyjny z dublerami nie jest legalnym sądem, którego wymaga prawo Unii Europejskiej, i w dwóch wyrokach naruszył prawo UE. „Odbudujemy państwo prawa. To nie wybór – to konieczność" – napisał na X rzecznik rządu Adam Szłapka. Droga do tego celu będzie długa i usłana gównem.

Pod okiem UE

Unijny trybunał orzekł 18 grudnia, że Polska naruszyła zobowiązania wynikające z prawa UE przez wadliwy wybór prezes Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej w grudniu 2016 r., w którym brali udział dublerzy, oraz samą obecność osób nieuprawnionych do orzekania w TK (wspomnianych dublerów). Na dokładkę uznano, że Polska naruszyła także zobowiązania wynikające z prawa unijnego poprzez orzecznictwo podważające zasady prawa UE. Doszło do tego wskutek wyroków TK pod kierunkiem Przyłębskiej wydanych 14 lipca i 7 października 2021 r., które stwierdziły niezgodność z polską konstytucją postanowień nakładanych przez TSUE na Polskę i jego wyroków dotyczących niezależności sądów.

W wyroku TSUE podkreślił, że Polska nie może powoływać się na swoją tożsamość konstytucyjną, aby uchylić się od respektowania wspólnych wartości zapisanych w art. 2 Traktatu o UE, takich jak państwo prawne, skuteczna ochrona sądowa i niezależność wymiaru sprawiedliwości. TK natychmiast oświadczył, że wyrok z Luksemburga ma w dupie. Na swojej stronie internetowej napisał, że „decyzja TSUE nie ma żadnego wpływu na funkcjonowanie konstytucyjnych organów Rzeczypospolitej Polskiej", i uważa, że „zapadła ona całkowicie poza kompetencjami tego organu". Nienawykła do respektowania prawa prawica zaczęła wyć na nutę zamachu na suwerenność Polski. Premier Donald Tusk uznał, że wyrok daje zielone światło do naprawy TK. Kłopot w tym, że narzędzi ku temu niewiele, a przeszkód sporo.

Oświadczenie polskiego TK można zawiesić na haku, bo ma jedynie wymiar symboliczny, a nie prawny. Jeśli Polska nie wykona wyroku, Komisja Europejska może zawnioskować o nałożenie na kraj nad Wisłą kary finansowej, a TSUE poprawić lanie karą dzienną. To, co wydarzy się dalej, to kwestia interpretacji wyroku, a zwłaszcza jego zakresu. Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach.

Interpretacja interpretacji

Według przekazanej mediom opinii dr. Krzysztofa Izdebskiego z Fundacji Batorego grudniowy wyrok TSUE może stanowić uzasadnienie decyzji o niepublikowaniu orzeczeń wydawanych przez TK kierowany przez Julię Przyłębską z tzw. dublerami w składzie. Nie uzasadnia już natomiast tego, by wyroków nie publikować w ogóle, a tak właśnie się dzieje. Warto przypomnieć, że brak publikacji orzeczeń wydanych przez prawidłowe składy bez dublerów skrytykowała w przeszłości Komisja Wenecka.

Luksemburski trybunał zauważył, że na Przyłębską jako nową prezes TK musiał głosować któryś z tzw. sędziów dublerów. Otrzymała ona bowiem pięć na sześć głosów, a w głosowaniu brali udział Henryk Cioch, Lech Morawski oraz Mariusz Muszyński. TSUE nie odniósł się jednak do wyboru Bogdana Święczkowskiego na prezesa TK w grudniu 2024 r. po zakończeniu kadencji Przyłębskiej. Stało się tak dlatego, że skarga Komisji Europejskiej na Polskę nie obejmowała tego okresu działności TK. Święczkowski, za czasów rządów PiS prawa ręka ministra Ziobry, został wybrany przez Zgromadzenie Ogólne sędziów TK, w którym nadal zasiadają dublerzy. To może prowadzić do wniosku, że jego wybór również jest obarczony wadą (analogicznie jak Przyłębskiej), jednak TSUE nie wypowiedział się na ten temat wprost. Bez zmiany prezesa TK odbudowa niezależności tego organu nie jest możliwa. Uchwalone za PiS przepisy ustawy o Trybunale Konstytucyjnym dają jego prezesowi uprawnienia do wyznaczania składów orzekających. TK pod kierownictwem Święczkowskiego orzekł pod koniec 2025 r., że pełny skład TK w wyjątkowych okolicznościach może być mniejszy niż 11 osób. Sprawy dotyczące zgodności przepisów ustaw i prawa międzynarodowego z konstytucją rozstrzygają składy pięcioosobowe. Nawet jeśli głosami Koalicji 15 października do TK powołani zostaną nowi sędziowie, nominowany przez PiS prezes będzie decydował o składach w kluczowych politycznie sprawach. Sześcioletnia kadencja prezesa skończy się w grudniu 2030 r., a sędzią będzie do 26 lutego 2031 r. Konstytucja RP nie przewiduje odwołania prezesa TK przed upływem kadencji. W 2024 r. koalicja rządząca chciała wprowadzić możliwość skrócenia kadencji prezesa TK lub odwołania go w drodze uchwały Zgromadzenia Ogólnego. Ustawa została skierowana przez prezydenta Andrzeja Dudę do kontroli konstytucyjnej, TK zaś w 2025 r. uznał te przepisy (jakżeby inaczej) za niezgodne z konstytucją, wskutek czego nie weszły w życie.

Jedna z prawniczych hipotez głosi, że poprawnie obsadzony TK mógłby orzec o niezgodności procedury, która doprowadziła do zaprzysiężenia Święczkowskiego na prezesa TK. Orzeczenie trybunału otwierałoby drogę do wznowienia postępowania o wyborze prezesa TK (taką możliwość daje art. 190 pkt 4 konstytucji). Do tego – o ile w ogóle taki plan wejdzie w życie – jeszcze daleka droga.

Gra w zbijaka

Po ogłoszeniu wyroku TSUE z TK dobrowolnie powinni odejść dublerzy Jarosław Wyrembak i Justyn Piskorski. Bogiem nieistniejącym a prawdą mieli już taką powinność po wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka z maja 2021 r., który to uznał, że składy z udziałem wyżej wspomnianych naruszają Europejską Konwencję Praw Człowieka. Kadencja Piskorskiego wygasa we wrześniu 2026 r., a Wyrembaka z końcem stycznia 2027 r.

Były minister sprawiedliwości prof. Adam Bodnar stwierdził, że należy już dziś obsadzić nie tylko wakujące miejsca w Trybunale Konstytucyjnym, ale też wybrać sędziów na miejsca obsadzone przez dublerów. Pomysł byłego ministra sprawiedliwości wydaje się niemądry z prawnego punktu widzenia. Po pierwsze, mało prawdopodobne, żeby poważny i (wreszcie) apolityczny kandydat chciał być powoływany w takich okolicznościach. Po drugie, jest więcej niż prawdopodobne, że w takiej sytuacji okoniem stanie prezydent Nawrocki.

Prezydent RP nie ma konstytucyjnego prawa do odmowy odebrania ślubowania sędziemu Trybunału Konstytucyjnego wybranemu przez sejm. W praktyce nie ma jednak skutecznego mechanizmu przymuszenia głowy państwa do wykonania tej czynności.

W 2015 r. prezydent Andrzej Duda nie odebrał ślubowania od trzech sędziów wybranych przez sejm VII kadencji, mimo że TK uznał ich wybór za zgodny z konstytucją. W 2024 r. w ustawie z 13 września o Trybunale Konstytucyjnym wprowadzono możliwość złożenia ślubowania pisemnie (z poświadczeniem notarialnym) na ręce marszałka sejmu, w razie gdyby prezydent nie odebrał go w terminie 14 dni. Był to swoisty bezpiecznik na wypadek blokady dużego pałacu. Niestety, ustawa trafiła do kosza.

Najbardziej adekwatnym scenariuszem wydaje się zatem ten, w którym rząd zaczyna po prostu zgłaszać kandydatów do TK na te miejsca, które się zwalniają. Na początku grudnia w stan spoczynku ze względu na stan zdrowia przeszła sędzia Krystyna Pawłowicz. 20 grudnia kadencję skończył sędzia Michał Warciński. Wskutek tego koalicja rządząca do końca 2025 r. zyskała aż sześć wakatów do obsadzenia, a od połowy 2026 r. uzyska dwa kolejne – łącznie osiem z 15 dostępnych. Wiewiórki donoszą, że pracami nad planem wypełnienia wakatów zajmują się m.in. minister sprawiedliwości Waldemar Żurek i odpowiedzialny za wdrażanie polityki rządu minister Maciej Berek. Na karuzeli nazwisk mignęli były prezes Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia" i przewodniczący komisji kodyfikacyjnej ustroju sądów i prokuratury Krystian Markiewicz oraz Robert Kropiwnicki. Wyboru sędziów sejm miałby dokonać na początku 2026 r. Pytania, jaką drogę wybierze premier Donald Tusk i co z przyjęciem ślubowania sędziów zrobi prezydent Nawrocki, pozostają otwarte.

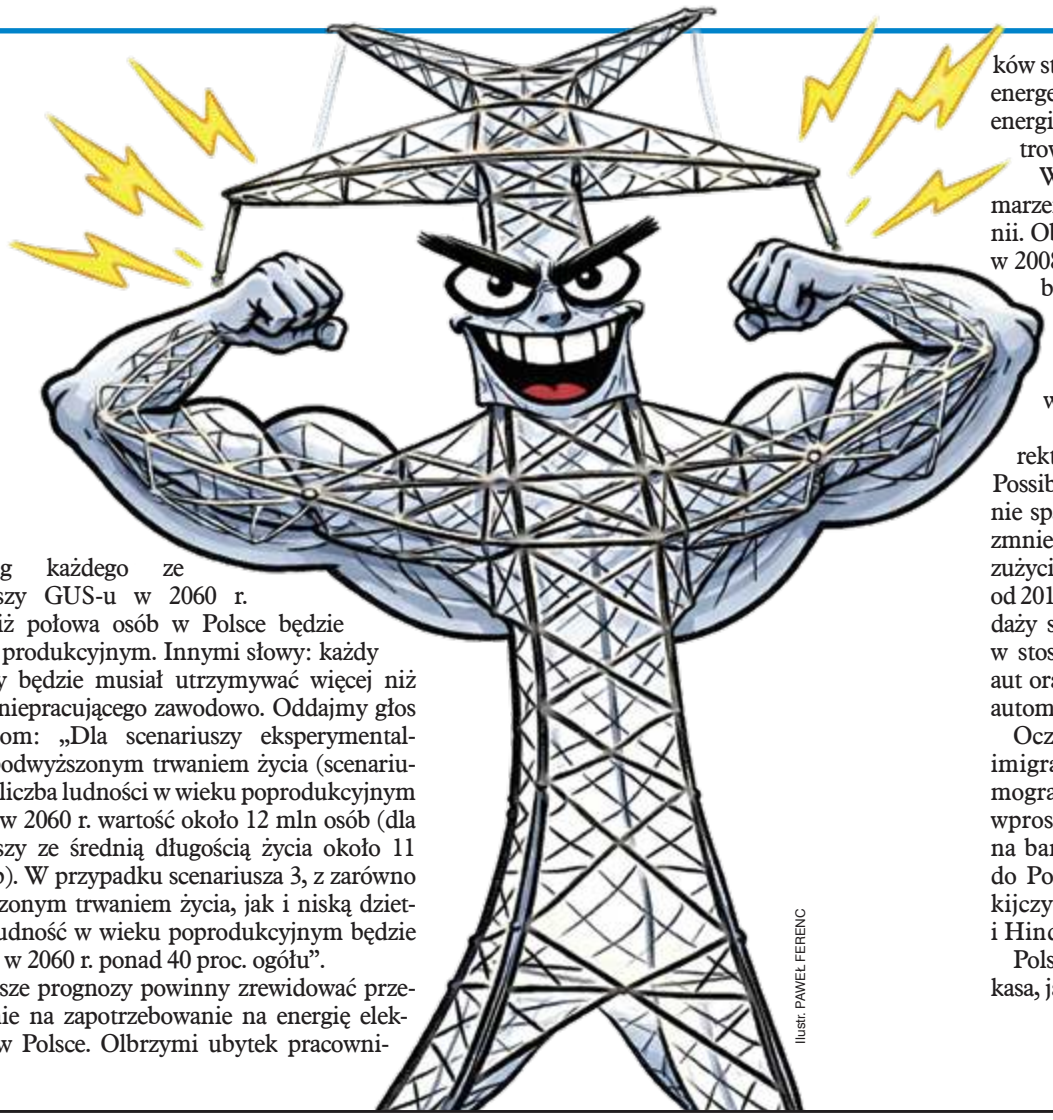
IDALIA DUBICKA

Będziemy drugą Japonią

Za komuny było tak strasznie, że ludzie z rozpaczy się mnożyli. Tak przynajmniej twierdzą dziś co bardziej zaciekli antykomuniści.

Bierut, Gomułka, Gierek i Jaruzelski tłamsili naród, niszczyli go na każdym kroku, a Polacy – na złość pierwszym sekretarzom i ku radości biskupów – produkowali kolejnych małych Polaków. A teraz, jak niedawno powiedział Tusk, taki w kraju dobrobyt, że dzieci coraz mniej.

PRL miał generalnie zdrową strukturę demograficzną. W 1960 r. średni wiek w Polsce wynosił jedynie 29,1 lat, w 1990 r. było to 33,8 lat, obecnie zaś – 43,6 lat. A prognozy są jednoznaczne: w 2040 r. będziemy mieli średnio 47,4 lat, a w 2050 – 48,8. Innymi słowy, przeciętny Polak będzie osobą tuż przed 50. rokiem życia, a więc zbliżającą się do emerytury.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Według każdego ze scenariuszy GUS-u w 2060 r. mniej niż połowa osób w Polsce będzie w wieku produkcyjnym. Innymi słowy: każdy pracujący będzie musiał utrzymywać więcej niż jednego niepracującego zawodowo. Oddajmy głos statystykom: „Dla scenariuszy eksperymentalnych z podwyższonym trwaniem życia (scenariusze 2 i 3) liczba ludności w wieku poprodukcyjnym osiągnie w 2060 r. wartość około 12 mln osób (dla scenariuszy ze średnią długością życia około 11 mln osób). W przypadku scenariusza 3, z zarówno podwyższonym trwaniem życia, jak i niską dzietnością, ludność w wieku poprodukcyjnym będzie stanowić w 2060 r. ponad 40 proc. ogółu".

Powyższe prognozy powinny zrewidować przewidywanie na zapotrzebowanie na energię elektryczną w Polsce. Olbrzymi ubytek pracowników stawia pod znakiem zapytania sens rozwijania energetyki atomowej, aby zapewnić stabilne źródło energii elektrycznej w obliczu wygaszania elektrowni węglowych.

W jakiś przewrotny sposób spełnia się powoli marzenie Lecha Wałęsy o Polsce jako drugiej Japonii. Oba kraje osiągnęły szczyt wielkości populacji w 2008 r. Polskie społeczeństwo niczym japońskie będzie się starzeć. Oficjalne dane azjatyckiego państwa pokazują, jak bardzo konsumpcja energii spada wśród gospodarstw domowych po przekroczeniu przez ich członków wieku 65 lat.

Oddajmy głos Kubie Gogolewskiemu, dyrektorowi programowego Fundacji Mission Possible: „W Japonii, której populacja gwałtownie spada i starzeje się (…) – w 2024 r. populacja zmniejszyła się o prawie 900 tysięcy osób – krajowe zużycie energii elektrycznej spada średnio o 2 proc. od 2010 r. I to przy dużo większym procencie sprzedaży samochodów elektrycznych i hybrydowych w stosunku do wszystkich kupowanych nowych aut oraz wymuszonej zmianami demograficznymi automatyzacji i robotyzacji produkcji".

Oczywiście może sprowadzimy parę milionów imigrantów i zatrzymamy istniejące trendy demograficzne. Ale niech premier Tusk powie to wprost – chłopaki z dwóch Konfederacji i PiS-u na bank mu przyklasną, gdy obieca sprowadzić do Polski dwa miliony Ukraińców, milion Irakijczyków, a także drugie tyle Pakistańczyków i Hindusów…

Polska polityka energetyczna to tragifarsa, ale kasa, jaką pochłonie, jest do bólu poważna.

KATARZYNA KOENIG

eprasa.pl 1fb3d366b7

Ksiądz w dom

Sezon polowania na koperty owieczek trwa w najlepsze



Dzwonek do drzwi i facet w koloratce w wizjerze świadczy o tym, że najprawdopodobniej jesteś w Polsce. Niby możesz być też w Bawarii, ale jeśli nie znasz niemieckiego, to zostaje opcja, że mieszkasz we Włoszech i jest po Wielkanocy. Po wykluczeniu i tej możliwości masz kilka sekund na odpowiedź na leninowskie pytanie: „co robić?".

Uwaga, ksiądz idzie!

Jeśli mieszkasz w dużym mieście, odwróć się na pięcie i udawaj, że cię nie ma w domu. We Wrocławiu, Krakowie czy Warszawie zachowuje się tak ponad połowa katolickiej owczarni. W Tarnowie – co może ze względu na kościelne słupki dziwić – jest tak samo. W mieście dzięki prawu wielkich liczb można być pewnym, że stojąca pod drzwiami osoba duchowna nie rzuci klątwy ani nie obłoży mieszkania jakąś ekskomuniką. Po prostu nie ma czasu na pierdoły, bo ma garnąć szmalec, a nie zajmować się bzdurami. Poza tym księża doskonale zdają sobie sprawę, że jeszcze przyjdzie koza do woza. Ba, ostatnimi laty, jeśli nie chodzisz do kościoła i nie wiesz, że żeby ksiądz cię nawiedził, musisz zadeklarować chęć przyjęcia go w kancelarii parafialnej lub na stronie internetowej parafii, to klecha raczej cię nie nawiedzi, bo dla niego czas to pieniądz. Nie będzie więc marnował cennych minut na bezsensowne dobijanie się do drzwi.

Przechlapane ma się, mieszkając w małym miasteczku albo na wsi. A już zupełnie przerąbane mają osoby posiadające dzieci podlegające chrzczeniu lub pójściu do komunii. Pragmatyka nakazuje w takiej sytuacji księdza przyjąć. Bo pozostawienie klechy za drzwiami grozić może odmową chrztu lub komunii. To zaś spotkałoby się z niezrozumieniem babć, ciotek i wszystkich tych członków rodziny, którzy winni być zaproszeni na poczęstunek po pokropku lub zjedzeniu komunikantu przez latorośl.

Lista księżych sankcji dla niewpuszczających katabasa może być zresztą znacznie dłuższa i zawierać nawet imienne napomknienie podczas niedzielnego nabożeństwa. W parafiach na Rzeszowszczyźnie czy Sądecczyźnie wierni coś wiedzą na ten temat. A ponieważ nikt nie chce być przez wieś otoczony ostracyzmem, drzwi stoją tam przed wizytatorami duszpasterskimi otworem.

Kolędowy dress code

Decyzja o wpuszczeniu księdza do mieszkania też nie jest wolna od ryzyka. Po pierwsze może on być fałszywy. Choć ryzyko tego jest minimalne. Nikt normalny nie trzyma biżuterii i gotówki na podorędziu, a wyniesienie telewizora lub komputera przez podróbę księdza jest mało prawdopodobne. Przebieraniec w koloratce zaspokoi się wyłącznie zawartością koperty. Plaga fałszywych kolędujących księży dotyka jedynie największych miast i dlatego niektóre diecezje apelują do owieczek, by duszpasterzy legitymowały.

O stokroć niebezpieczniejsze jest jednak otwarcie drzwi przed ultrasem w sutannie. Tych nie brakuje na Podlasiu i Podkarpaciu.

Ogólnie wiadomo, że osoba przyjmująca duszpasterza ma mieć na stole biały obrus, krzyż, zapaloną świecę i kopertę. Dla fundamentalisty to jednak za mało. Musi być jeszcze kropidło i woda święcona. Ale żeby tylko...

Na stronie internetowej wielu parafii stoi jak byk: „Na czas kolędy wyłączone są telewizory i radia, psy i koty zamknięte są w pomieszczeniach gospodarczych lub piwnicach – nigdy w łazienkach lub w sąsiednich pokojach, klatki z papużkami i kanarkami wyniesione są do innego pomieszczenia, wszyscy są odświętnie ubrani. Uwaga, nigdy nie wolno nabożeństwa kolędowego przeżywać w laczkach, papciach ani w dresach. Świadczy to o lekceważeniu nabożeństwa kolędowego, o braku szacunku dla kapłana i dla osób mu towarzyszących, o braku kultury osobistej i o złym wychowaniu". Czasem jest i ciąg dalszy stanowiący, żeby nie przegrzewać pokoju, w którym odbywa się wizyta, a przy kolędowym stole nie stawiać głębokich, niskich foteli, a tylko zwykłe krzesła.

W kościelnych komunikatach stoi też, że na czas wizyty „dzieci i młodzież przygotowują zeszyty od religii (lepiej przyznać się, że takowego się nie posiada niż tłumaczyć, że »pożyczyłem koledze do przepisania i mi nie oddał«, bo i tak żaden ksiądz w to nie uwierzy)".

Zdarza się, że kościelna instrukcja informuje też: „Odmówienie kolędy kapłanowi jest wyrazem braku identyfikacji z Kościołem, a co za tym idzie – wyrażeniem zgody – na odmówienie też jakiejkolwiek posługi duszpasterskiej". Dla nieobytych z kościelną nomenklaturą wypada dodać, że posługi duszpasterskie to chrzty, komunie i pogrzeby. Niektóre parafie są jednak bardziej tolerancyjne, bo w nich dopiero „rodzina, która notorycznie nie przyjmuje po kolędzie, może być potraktowana jako niepraktykująca, lub nawet niewierząca".

Co łaska

Koperta z datkiem winna zajmować dyskretne miejsce na rogu stołu. Chyba że jest się szczęściarzem i pomieszkuje na terenie jednej z kilku parafii w Polsce, gdzie obowiązuje zakaz przyjmowania kopert od wiernych.

Szczęściarzami są też mieszkańcy dużych miast. Tu wystarczy włożyć do koperty stówę. Im parafia mniejsza i biedniejsza, tym zwyczajowe stawki wyższe. Dla pechowców na ścianie wschodniej mogą sięgnąć nawet trzech stów.

I niech nie łudzi się ktoś, kto chciałby wykpić się sianem pod pozorem, że ksiądz nie zagląda w kopertę, w związku z czym można go opędzić byle dychą. Nic z tych rzeczy. Księża saszetka jest na tyle pojemna, że kolędujący klecha wkłada koperty w kolejności odwiedzin. Te zaś ma udokumentowane w swoim parafialnym kajeciku. Po każdym powrocie na plebanię koperta wraz z jej zawartością jest przypisywana konkretnemu domostwu.

Sam przebieg wizyty duszpasterskiej sprowadza się dla księdza do wejścia, wymamrotania czegoś pod nosem, pokropku mieszkania, sprawdzenia danych rzeczywistych nawiedzanych z danymi, które widnieją w parafii, i pognaniu dalej. Czasem sprawdzanie wpisów wiąże się też, jak przystało na dobrego pracownika korporacji, z reklamowaniem dodatkowych usług świadczonych przez Kościół. Najczęściej promuje się rozwody kościelne. Wystarczy, by klecha skonstatował, że małżeństwo z dzieckiem jest jedynie po ślubie cywilnym, by zaproponował swoje znajomości w sądzie biskupim, gdzie bez zbędnej zwłoki można przeprowadzić unieważnienie poprzedniego kościelnego ślubu któregoś z rodziców pacholęcia.

Niektórzy wierni podczas kolędy usiłują z księdzem rozmawiać. To błąd. Ksiądz nie jest bowiem od słuchania i prowadzenia dysput, ale od zaliczenia jak największej liczby mieszkań i ściągnięcia ze stołów kopert.

Dbałość o portmonetkę nie cechuje tych księży, którzy spijają gorzałę stawianą przez wiernych. Bo spijają. Tak samo jak nie gardzą obiadem czy kolacją. Picie wódki przez kolędujących duchownych najlepiej odzwierciedlają dane policji dotyczące zatrzymań narąbanych księży. Wysyp napromilonych kierowców w koloratkach przypada od lat na przełom roku.

To, co najważniejsze

O ile ksiądz złodziej raczej do nikogo nie zapuka, to w przypadku ministrantów wypada uważać. Zwłaszcza że niewiele osób jest w stanie połączyć zniknięcie czegoś z wizytą duszpasterską. Policja coś o tym nieodmiennie od lat wie.

Ministranci zresztą nie ukrywają, że wszystko, co jest w zasięgu ich dłoni, może się do nich przykleić. Skubią jednak nie tylko odwiedzane owieczki. Kroją siebie nawzajem. Pewnie dlatego, że do księżej kasy nie mają dostępu. Ale okazuje się, że są miejsca, gdzie lud boży również i księżych pomocników honoruje datkami. Tam ministranci biją się o fuchę towarzyszenia księdzu. Dzięki fantom i datkom są w stanie w ciągu paru tygodni wyciągnąć nawet kilka tysięcy. I to mimo że większość ludzi zostawia ministrantów za drzwiami.

W Polsce jest ponad 15,5 mln mieszkań. Badania pokazują, że księża są wpuszczani niemal co do drugiego i dostają w nim przeciętnie 100 zł. Coroczna peregrynacja po owczarni przynosi Kościołowi co najmniej 700 mln zł. Pieniądz nader zacny i na dodatek nieopodatkowany. A na dodatek grubo ponad dwa razy większy niż to, co wszyscy podatnicy płacą Kościołowi w formie Funduszu Kościelnego.

Na tym jednak pożytki z kolędowania się nie kończą. Ci, którzy księdza nie wpuścili, i tak zapłacą. Wystarczy sobie przypomnieć ostrzeżenia o odmowie posługi duszpasterskiej. Co chwila niechętne Kościołowi media informują, że z powodu nieprzyjmowania księdza komuś odmówiono katolickiego pochówku. Tyle że te informacje to nawet nie ułamek promila tych odmów. Większość z nich załatwia się w sposób tyleż cichy, co cywilizowany. Nieutulona w bólu rodzina bezbożnej osoby jednorazowo przynosi proboszczowi tyle, ile nieboszczyk dałby w ciągu bezkolędowych lat. I to z należnymi odsetkami.

Dokładnie tak samo załatwia się chrzciny, dopuszczenie do komunii czy cokolwiek. I dlatego jeszcze długo kler będzie raczył media bajkami, że w kolędzie „Dla nas, dla księży najważniejsze jest spotkanie z wiernymi, modlitwa i błogosławieństwo".

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ 21 grudnia kilkaset osób zgromadziło się przed Szpitalem św. Wojciecha w Gdańsku Zaspie, by modlić się w intencji ochrony życia płodów oraz wyrazić swój sprzeciw wobec praktyk aborcyjnych prowadzonych w tej placówce. Zgromadzeni wzięli udział w Publicznym Różańcu o zatrzymanie aborcji. Obecni na miejscu przedstawiciele Fundacji Życie i Rodzina przypomnieli, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy w tej placówce przeprowadzono siedem aborcji płodów między 8. a 25. tygodniem rozwoju prenatalnego. Informacje te – wedle fundacji – miały wzbudzić niepokój części mieszkańców Gdańska. Nasz niepokój wzbudza fakt, że katolickie oszołomstwo ma dostęp do danych wrażliwych placówki medycznej.

✚ Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego (ISKK) opublikował dane na temat praktyk religijnych Polaków. Fantastycznym trendem potwierdzonym przez dane z 2024 r. jest zmniejszanie się liczby księży, zakonników i zakonnic. W latach 2018–2024 liczba księży inkardynowanych zmniejszyła się o 6,4 proc., a posługujących duszpastersko w parafiach – o 11,7 proc. W tym czasie (od 2018 r.) liczba sióstr w zgromadzeniach czynnych zmniejszyła się o ponad 2 tys. W 2024 r. sakramentu chrztu św. udzielono 247 osobom, czyli o 7,5 proc. mniej niż w roku poprzednim. Do pierwszej komunii świętej przystąpiło prawie 320 tys. osób (spadek o 1,5 pkt. proc.). Sakrament bierzmowania przyjęło blisko 313 tys. osób (spadek o 27,6 pkt. proc.). Jeszcze bardziej spektakularne statystyki spadkowe zanotował sakrament małżeństwa. Udzielono go 68,3 tys. parom, czyli mniej o 11,6 proc. Doskonale, oby tak dalej.

✚ Prokuratura Okręgowa w Zielonej Górze prowadzi śledztwo w sprawie sposobu opieki nad podopiecznymi Domu Pomocy Społecznej we Wschowie, prowadzonego przez Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety. W ramach śledztwa jednej z podejrzanych przedstawiono zarzut fizycznego i psychicznego znęcania się nad wychowankami nieporadnymi ze względu na upośledzenie umysłowe i wiek. Dwóm pozostałym kobietom, niebędącym zakonnicami, śledczy zarzucili zmuszanie podopiecznych do określonych działań. Wobec podejrzanej zakonnicy zastosowano środek zapobiegawczy w postaci dozoru policji oraz zakaz wykonywania jakichkolwiek czynności związanych z opieką nad osobami małoletnimi oraz niepełnosprawnymi. Za znęcanie się nad osobą nieporadną Kodeks karny przewiduje od sześciu miesięcy do ośmiu lat pierdzenia w pasiaki, natomiast za zmuszanie do określonego działania – do lat trzech pierdla.



✚ „Święta to niby niedobry czas, żeby pisać o polityce. Ale może to jedyny moment, kiedy można porozmawiać o znaczeniu religii dla polityki – bo to jest temat, bez którego zrozumienia nie da się zrozumieć Brauna. Dlatego znowu zaryzykuję hejt zamkniętych głów, które ciągle pozują na otwarte, piszę: pseudoreligijnym populistom rośnie z powodu tego, co robią antyreligijne polskie elity. Te, które przez lata obśmiewały szacunek dla tradycji, dla wiary, dla konserwatywnych wartości, a teraz dziwią się, że ktoś sprzedał ich brutalną – i brunatną – imitację" – napisał w felietonie dla „Gazety Wyborczej" Marcin Matczak. Mocny tekst jak na mieszkańca kraju, w którym klechę zaprasza się nawet na otwarcie oczyszczalni miejskiej.

KLECHA

eprasa.pl 1fb3d366b7

Kochajmy się jak bracia, liczmy się jak katolicy

Wierni i statyści

Kościół kat. znowu się policzył. A właściwie policzył to, co chciał i może, w granicach marketingowego rozsądku. Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego (ISKK) wydał rocznik statystyczny za rok poprzedni – 2024. Umiejętnie przedstawiając dane, kościelni statystycy zauważyli światełko w tunelu, ignorując fakt, że to światło nadjeżdżającego pociągu.

Krzywa rośnie

W ostatnich latach dane były dla duchownych coraz bardziej alarmujące: radykalnie spadał odsetek wiernych chodzących na msze i przyjmujących komunię, coraz mniej było nowych księży i kleryków, chrztów, bierzmowań, ślubów. Tegoroczne badania kler widzi jako napawające optymizmem, bowiem „stabilizują się statystyki dotyczące praktyk religijnych". Owszem, stabilizują się, ale na niskim poziomie. Dla pełniejszego obrazu powinni powiedzieć, że jest chujowo, ale stabilnie.

ISKK chwali się, że wskaźnik *dominicantes* (uczestników niedzielnej mszy) wyniósł w 2024 r. 29,6 proc., a to znaczy że wzrósł o 0,57 proc. w porównaniu z 2023 r., kiedy to wyniósł 29 proc. Z kolei wskaźnik *communicantes* (czyli przyjmujących komunię) wzrósł o 0,64 proc. – do 14,6 proc. Dla księży to dobry znak – po pandemii część ludzi wróciła na msze. Czy to dużo? Oczywiście że nie, biorąc pod uwagę czasy świetności.

Zakłamywanie rzeczywistości to jeden z podstawowych obowiązków księży, obligatoryjny, jak widać, także w statystyce.

Błędy w sztuce

Gdyby bowiem kościelni liczmani liczyli po bożemu, czyli tak jak reguły sztuki nakazują, to wskazaliby choćby, od jakiej liczby są to procenty. Katoliccy statystycy używają w swoich badaniach enigmatycznej kategorii „zobowiązanych" do uczestnictwa w niedzielnych nabożeństwach, czyli ludzi w pełni sił, zdrowych i w miarę młodych, ale nie za bardzo. Nie wiadomo, czy liczbę ogółu katolików typują na podstawie badań GUS, czy np. według liczby ochrzczonych. Wiadomo jedynie, że stosują regułę, iż około 18 proc. jest niezobowiązanych do guseł, czyli za młodych, za starych lub zbyt chorych. Zasada ta stosowana jest od kilkudziesięciu lat, ale w tym czasie struktura demograficzna Polski nieco się zmieniła, mówiąc delikatnie. Przybyło ludzi starszych i schorowanych, młodych jest coraz mniej.

A to właśnie seniorzy stanowią trzon uczestników mszy. Tylko że nikt nie liczy ich oddzielnie jako „niezobowiązanych". Jeśli więc parafia liczy 1000 osób, to zakłada się po prostu, że 820 powinno się stawić na niedzielnej mszy. I dopiero od tej liczby liczy się frekwencję. Gdyby więc zwiększyć procent „niezobowiązanych", to frekwencja mogłaby okazać się nawet wyższa. Ale jakby to zrobić naprawdę uczciwie, to trzeba by było liczyć każdą grupę wiekową – a także chorych – oddzielnie. Wówczas wyszłoby, że świątynie zapełniają ludzie, którzy wcale nie mają obowiązku tam być. A zatem frekwencja mogłaby być nawet jednocyfrowa, bowiem większość regularnie praktykujących to stypendyści ZUS-u. Trudno jednak od kleru wymagać naukowej ścisłości, gdyż godziłoby to w podstawy jego profesji.

Księga wyjść

Nie ma co oczekiwać ścisłych danych, skoro liczenie powierza się wolontariuszom, czyli proboszczom i ministrantom. Proboszczowie – chcąc zwiększyć frekwencję – zazwyczaj ogłaszają liczenie tydzień przed nim, mając nadzieję na to, że obecni zmobilizują nieobecnych i nie będzie przypału u biskupa. Ministranci liczą na oko, proboszczów nikt nie pilnuje podczas podawania wyników rachowania owieczek. Nikt nie chce wypaść bardziej chujowo niż kolega z parafii obok. W efekcie mamy więc pomieszanie z poplątaniem dla niepoznaki oflagowane nazwą instytucji kojarzącą się z socjologiczną powagą.

ISKK publikuje raport, ilu Polaków do kościoła chodzi, ale nie kwapi się informować, ilu wychodzi. Dane dotyczące apostazji byłyby ciekawe, ale



Rys. TOMASZ WIATER

w kościelnym roczniku ich nie uświadczymy. Na pewno nie jest to zjawisko masowe – zapewne w towarzystwie czytelników „NIE" apostatów jest stosunkowo więcej niż w innych środowiskach. Ponieważ apostazja jest tak naprawdę procedurą kościelną, wielu olewających Kościół olewa także akt oficjalnego opuszczenia tej instytucji wymagający przecież kontaktów z klechami, których wielu niewierzących zwyczajnie sobie nie życzy. Ale skoro, jako się rzekło, apostazja to procedura kościelna, to statystyki jej dotyczące tym bardziej powinny się znaleźć w roczniku Kościoła kat. Tutaj jednak znowu rodzi się problem z proboszczami, którzy raczej niechętnie takie dane ujawniają – za zadanie mają przecież za wszelką cenę zatrzymać bezbożnika w Kościele. Każda sfinalizowana w ich kancelarii parafialnej apostazja to osobista porażka księdza.

Próżno też w roczniku szukać danych o odejściach z kapłaństwa i zakonów. Szacuje się, że około 100 osób rocznie zrzuca sutannę lub habit, ale oficjalnych danych nie ma. Nie każdy odchodzi z hukiem, większość opuszcza firmę po cichu, a kurie diecezjalne się tym nie chwalą. Rocznik nie uwzględnia również tych karnie wydalonych z kapłaństwa, np. za pedofilię. Z raportu dowiemy się jedynie, że w latach 2018–2024 liczba księży spadła o 6,4 proc., a kleryków o ponad połowę. Ubyło księży, przybyło parafii. Niby dziwne, ale logiczne. Ubywa księży diecezjalnych (czarnych), ale zakonników nadal jest sporo i są do zagospodarowania. Dostają więc od biskupów nowe parafie do prowadzenia, żeby zapełniać pustkę. Wkrótce – gdy ogólna liczba klechów będzie się zmniejszać – parafii będzie sukcesywnie ubywać, bo będą łączone, co już się gdzieniegdzie dzieje.

Przybytki i zabytki

Niektóre diecezje chwalą się wszakże, że u nich kleryków jest coraz więcej. Zapominają tylko dodać, że często są to chłopcy z zagranicy, np. z Ukrainy czy Białorusi, ale także z Afryki, którzy po skończonych studiach niekoniecznie będą pracować w Polsce. Może i nie wrócą do siebie, ale co sprytniejsi wyjadą choćby do Niemiec czy Francji, gdzie księży też jak na lekarstwo, ale kraje bogatsze. Takiego elementu napływowego w seminariach jest już około jednej trzeciej. Utrzymujemy więc siłę roboczą dla Niemca, co prawicy nie powinno się podobać.

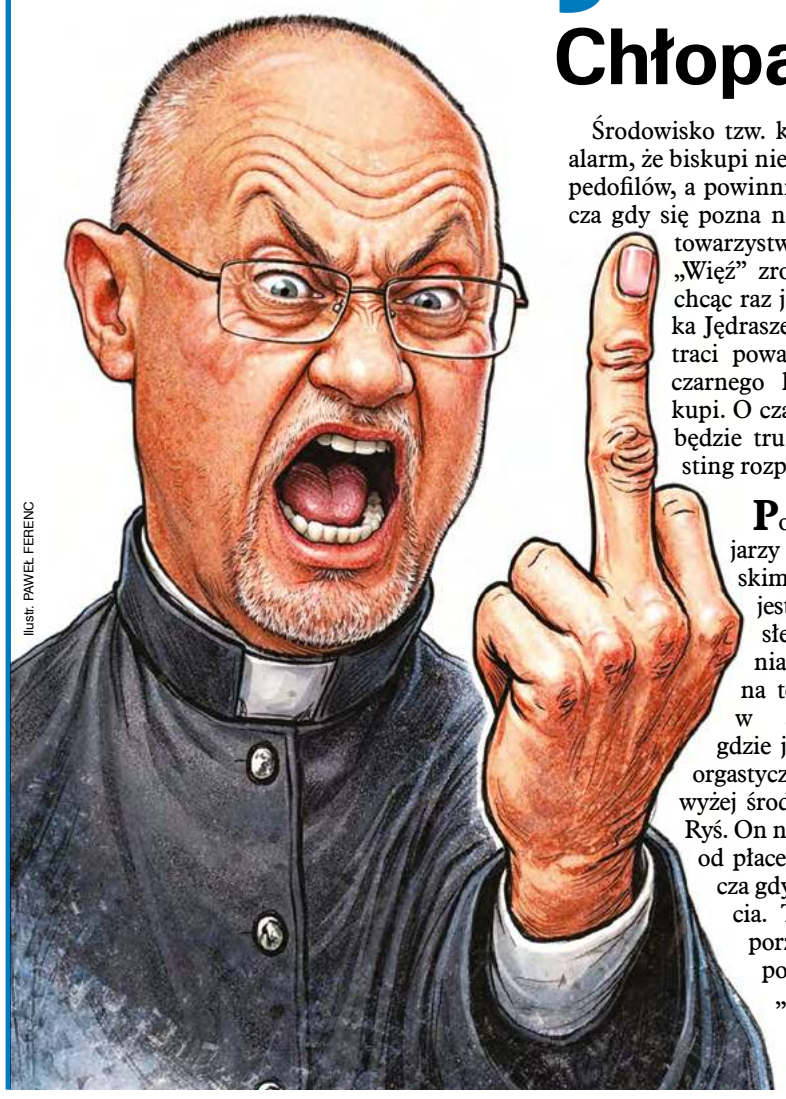
W roczniku czytamy, że „liczba zabytków nieruchomych należących do parafii katolickich w 2024 r. wynosiła ponad 40,5 tys., co stanowi wzrost w porównaniu do roku 2021, w którym odnotowano 34 tys. takich obiektów. W ubiegłym roku blisko 60 proc. kościelnych obiektów zabytkowych zostało udostępnionych dla zwiedzających, zaś ponad połowa (24,1 tys.) z nich znajdowała się w rejestrze zabytków". To akurat łatwo wytłumaczyć: na zabytki łatwiej pozyskać dotacje. Z tym że z tą dostępnością to akurat mrzonka: kościoły otwarte są zazwyczaj tylko podczas nabożeństw, których nie można zakłócać zwiedzaniem. Nie trzeba chyba dodawać, że o majątku kościelnym w postaci nieruchomości czy firm w roczniku też ani słowa. To wielka tajemnica wiary.

ISKK chwali się na swojej stronie internetowej: „W ostatnich dniach nasze coroczne badanie uczestnictwa w niedzielnej Mszy świętej oraz liczby osób przystępujących do Komunii świętej – prowadzone przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego – zostało szeroko zrelacjonowane w mediach ogólnopolskich. Dzięki temu publikowane przez nas dane znajdują żywy rezonans w publicznej debacie o kondycji życia religijnego w Polsce. Dzięki temu rosnącemu zainteresowaniu medialnemu Instytut jest coraz częściej postrzegany jako kluczowy ośrodek analizujący religijność w Polsce". Szkoda tylko, że podawane są bezrefleksyjnie jak prawdy objawione. Tymczasem, gdy poskrobać, okazuje się że dane ISKK są naciągnięte jak katolickie dogmaty. Mark Twain pisał, że są trzy rodzaje kłamstw: kłamstwa, bezczelne kłamstwa i statystyki. Czwartym rodzajem są statystyki kościelne.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Alimenty św. Józefa

Chłopaki nie płacą


Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wróży to maksimum obiektywności. Nic dziwnego, że sam skąpi na ofiary: skoro nic nie było tuszowane, nie ma za co płacić. Może nawet molestowania nie było, tylko atak na kapłanów.

Środowisko tzw. katolików otwartych bije na alarm, że biskupi nie chcą płacić na ofiary księży pedofilów, a powinni. Zero zaskoczenia, zwłaszcza gdy się pozna nazwiska tych biskupów, ale towarzystwo skupione wokół pisma „Więź" zrobiło z tego aferę, zapewne chcąc raz jeszcze pogrążyć abepe Marka Jędraszewskiego, który jako emeryt traci powab i trzeba szukać nowego czarnego luda, którego ciemny lud kupi. O czarny charakter tego formatu będzie trudno, ale szukać warto. Casting rozpoczęty.

Ponieważ Jędraszewski kojarzy się ze wszystkim, co w polskim Kościele kat. najgorsze (a co jest dobre?), oziębłość wyniosłego hierarchy wobec cierpienia maluczkich jest wisienką na torcie zakończonych rządów w archidiecezji krakowskiej, gdzie jego miejsce zajął – budzący orgastyczny zachwyt wspomnianych wyżej środowisk – kardynał Grzegorz Ryś. On na pewno nie będzie się migał od płacenia – lubi pomagać, zwłaszcza gdy ktoś nagrywa lub robi zdjęcia. Ten się dopiero weźmie za porządki i naprawi wszystko, co poprzednik zepsuł – cieszą się „liberalni katolicy", a przynajmniej będzie częściej gościł w mediach bliższych ich sercom niż Radio Maryja. No i zapewne jeden czy drugi się w blasku kardynalskiej purpury ogrzeje.

Afera z biskupim niepłaceniem dotyczy Fundacji św. Józefa powołanej przez sam episkopat, żeby pomagać ofiarom klerykalnej pedofilii. Ekscelencje powołali ją do życia i zobowiązali siebie oraz swoich księży do regularnych wpłat na jej działalność. Szeregowy ksiądz ma płacić 150 zł rocznie, a biskup – 2000 zł. Dla nich to tyle co splunąć, ale niektórzy wolą splunąć na własną inicjatywę i w twarz ofiarom księży. Ogólnie jest nieźle ze ściągalnością należności, ale zbuntowały się dwie diecezje: gliwicka i krakowska. Gliwicką rządzi bepe Sławomir Oder, do niedawna jeden z faworytów w grze o krakowski tron, swego czasu główny macher od świętości Wojtyły wyznaczony przez Watykan. W nagrodę pocieszenia Leon XIV mianował go ostatnio członkiem Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych, czyli watykańskiej fabryki świętych. Oder na wybielaniu życiorysów zna się jak mało kto. Po jego praniu bielsze nie będzie. Diecezja krakowska zaś to wspomniany Jędraszewski, którego teraz można w pastorał pocałować, bo będzie się pławił w emeryckich luksusach. Nikomu nie musi się tłumaczyć, nic nikomu nie jest winien.

Sławomir Oder na zlecenie episkopatu zajmuje się organizacją komisji mającej zbadać nadużycia seksualne polskiego kleru. Gdy badał życiorys JP2, to wyszło mu, że „Jan Paweł II był pierwszym papieżem, który zajął się tym problemem, więc zarzuty o jego rzekome tuszowanie są bezpodstawne".

Jego rzecznik zapytany o brak wpłat na fundację odpowiedział, że to nieprawda, iż biskup i jego podwładni nie bulą, tylko że nie jest to przymusowe. Jak wiadomo, dobrowolność zawsze pozytywnie wpływa na wykonywanie zadania.

Sama fundacja ostatnimi czasy przeżyła rekonstrukcję i władze zmieniły się na bardziej przyjazne biskupom. Poprzednia prezes Marta Titaniec we wrześniu 2025 r. złożyła dymisję. Jak twierdziła, na jej decyzję „wpłynęło także to, że nie zawsze spotkała się ze zrozumieniem działań Fundacji. Podczas niedawnego pierwszego spotkania Zarządu z Fundatorem stało się widoczne, że Fundacja, choć ustanowiona z woli biskupów, bywa przez niektórych z nich traktowana jak instytucja obca, zewnętrzna". Wszystko, co ludzkie, jest biskupom obce, zwłaszcza ludzkie odruchy. Dziwić może raczej, że w ogóle powołali jakąś fundację. A to, że ktoś w minimalnym choćby stopniu przyzwoity zgodził się jej prezesować, w życzliwej interpretacji zakrawa na naiwność.

Ekscelencje mają pilniejsze sprawy niż jakieś ofiary księży. W czasie świąt szeroko po sieci rozchodziły się wieści, że biskupi z kolejnych diecezji łaskawie wyrażają zgodę na jedzenie mięsa w piątek 26 grudnia. Piątkowy post został zniesiony, ale purpuraci prosili w zamian o „podjęcie innych form pokutnych, np. modlitwy o pokój lub jałmużny na rzecz potrzebujących". Sami zapewne wybrali modlitwę o pokój (najlepiej duży), bo z mięsa na pewno nie zrezygnowali, a i jałmużna – jak widać – jest im obca.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 1fb3d366b7

Czego ci nie mówią o pieniądzach

Odcinek 8

Mit „przerażających” deficytów

Bilans w handlu zagranicznym państwa to, jak wiemy, różnica wartości towarów i usług, które importujemy i tych, które eksportujemy. Jeśli przeważa import, to mamy deficyt handlowy. Deficyt przeraża wszystkich neoliberalnych ekonomistów – krzyczą o dziurze w bilansie handlowym państwa. Taki dla przykładu Trump, widząc tę dziurę, stwierdził, że Chińczycy, Europa i cały świat okradają Amerykanów i aby ją zasypać, narzuca światu absurdalne cła.

Jednak nowoczesne spojrzenie na finanse temu zaprzecza. Współczesne badania ekonomistów udowadniają, że deficyt handlowy państwa posiadającego własną walutę (jakimi są Stany Zjednoczone z dolarem czy Unia Europejska z euro… że o Polsce tu tym razem nie wspomnę) nie jest dziurą w budżecie – jest tlenem w jego gospodarce.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Histeria wokół deficytu handlowego to najskuteczniejsza propaganda neoliberalizmu, bo zamienia realne pytanie „kto ma pracę i po co produkujemy?” w księgowy bełkot o tym, czy komuś „zabraknie pieniędzy”. USA czy UE pieniędzy nie zabraknie. Pieniędzy może zabraknąć użytkownikowi danej waluty: tobie, mnie, firmie albo samorządowi, ale państwu nie musi. Jak już wiemy, państwo, które emituje własną walutę, nie jest gospodarstwem domowym, które musi najpierw zarobić, żeby wydać – państwo tworzy swoje pieniądze.

Trump widzi tylko dwie strony gry: własne państwo i zagranicę. On uważa, że przegrywa, kiedy import przewyższa eksport. My bądźmy mądrzejsi: zauważmy, że mamy nie dwie, a trzy strony tej finansowej gry. W pierwszej ręce mamy pieniądze państwa. W drugiej – pieniądze na rynku wewnętrznym: w portfelach firm i obywateli. W trzeciej – nasze pieniądze za granicą (np. u Chińczyków). Oczami Trumpa wygląda to tak jak w każdej grze o sumie zerowej: liczba tych dolarów jest stała. Jeśli Ameryka ma deficyt handlowy, to dokładnie ta kasa jest albo na jej wewnętrznym rynku, albo za granicą. Ale jeśli faktycznie jest tak, że Chińczycy mają te dolary, których jemu brakuje, to powinien postrzegać to jako szansę dla Ameryki. Dlaczego? Bo to jednak nie musi być gra o sumie zerowej. Trump zapomina, że może z niczego wyczarować nowe dolary i dołożyć je do puli tej gry, wlewając nowe pieniądze na własny rynek, dodając je Amerykanom. W ten sposób zmieniłby zasady gry. To nie jest patologia. To jest mechanizm zasilania, a dla Amerykanów szansa.

Czym jest ta szansa? Wyobraź sobie, że Trump wlewa na rynek wewnętrzny nowe dolary o wartości zbliżonej do deficytu, jaki ma z zagranicą. Z perspektywy nowoczesnej teorii monetarnej (MMT) rozwiązanie jest jednocześnie proste i rewolucyjne: inwestuje państwową kasę w sypiące się ze starości mosty i autostrady, w ekologiczną energetykę, w sieć tanich sklepów w Nowym Jorku, w publiczny transport oraz wprowadza pełne zatrudnienie w formie gwarancji pracy jako kotwicę systemu finansowego. Wtedy pomoc społeczna przestaje polegać na jałmużnie, beznadziejnych próbach aktywizacji zawodowej, czy oferowaniu kursu pisania CV, tylko realnej, godnej pracy w lokalnych projektach, z płacą i prawami, które wyznaczają minimum cywilizacji. Wtedy import przestaje być straszakiem, bo utrata miejsca pracy w fabryce nie oznacza wyroku społecznego; oznacza przejście do innej, potrzebnej pracy, jak: termomodernizacja, opieka, retencja wody, transport publiczny, zalesianie, naprawa ekosystemów, budowa mieszkań. Takie działanie byłoby ustanowieniem „pokoju handlowego”, a nie wojną o saldo handlowe z całym światem – bez wyścigu na dno.

A co zamiast tego robi Trump? Wchodzi z cłami. Zgrywając macho, mówi: „naprawię to, dowalę importowi”. Tyle że cła to w praktyce podatek nałożony na konsumentów: podnosisz ceny dóbr, które zaspokajają potrzeby ludzi, to rozkręcasz konflikt, prowokujesz odwet, dokładasz chaosu łańcuchom dostaw, a na końcu i tak nie dostajesz tego, co obiecałeś – bo miejsca pracy nie wracają z powodu zaklęcia „America First”, tylko wracają wtedy, gdy państwo tworzy stabilny popyt, inwestując publicznie, planując transformację i gwarantując zatrudnienie. Krótko: cła to medycyna młotka. Brzmi dumnie. Działa jak katastrofa.

Należałoby więc wytłumaczyć Trumpowi, że jeśli ma trwały deficyt handlowy, czyli część pieniędzy odpłynęła z jego krajowej gospodarki za granicę, to musi dostarczyć gospodarce tyle nowej kasy, żeby skompensować ten odpływ i utrzymać równowagę tej gry.

Warto zauważyć, że inny możliwy scenariusz najczęściej stosowany w neoliberalnej gospodarce, który polega na leczeniu deficytu handlowego zaciskaniem pasa obywatelom, wpycha państwo w deficyt – a to kończy się prywatnym zadłużaniem, ekonomicznym zastojem lub kolapsem i kryzysem. Potem przychodzi recesja eksportowana na cały świat jak po 2007 r. i ci sami ludzie mówią: „nikt nie mógł przewidzieć”. Mógł. To jest w instrukcji obsługi, którą dostarcza MMT.

Trump wygrał wybory, odwołując się do ludzi z tzw. pasa rdzy, którzy utracili pracę i podstawy bytu w wyniku neoliberalnej polityki wyprowadzania produkcji z USA do Chin i na Daleki Wschód (już prawie ćwierć wieku temu przed skutkami takiej polityki ostrzegał laureat Nagrody Nobla Joseph Stiglitz). Tylko czy tym ludziom pomoże hasło „America first” i recepta Trumpa na deficyt handlowy w postaci wprowadzenia ceł? Czy i w jakim stopniu z tego powodu produkcja wróci z Chin do Ameryki? Obawiam się, że bez inwestycji państwa, której nic nie zapowiada, będzie to niemożliwe. Jedno co pewne, bo już się to dzieje: polityka ceł podnosi ceny na towary powszechnie używane przez zwykłych Amerykanów. Bo „pas rdzy” to nie jest problem „deficytu handlowego”. To jest problem władzy, polityki przemysłowej i celowego utrzymywania bezrobocia jako straszaka – problem neoliberalizmu.

A Europa? Jeśli mówimy o państwach z własną walutą, to mamy możliwości więcej, niż wmawia nam rynkowa katecheza. Jeśli mówimy o strefie euro, to problem polega na tym, że wiele krajów stało się użytkownikami waluty, a nie jej faktycznymi emitentami, a strefa euro trzyma się nadal zasad neoliberalnej ideologii i ortodoksyjnej teorii ekonomii. I to jest polityczny skandal: zamiast użyć wspólnej waluty jako tarczy i narzędzia stabilizacji, zrobiono z niej dyscyplinującą pałkę.

Największy absurd całej tej epoki polega na tym, że są realne zasoby – ludzie, technologie, niewykonana praca, planeta czekająca na ratunek – a jednocześnie pozwalamy, by fikcja „braku pieniędzy” blokowała działanie.

To nie pieniądze są rzadkie. Rzadkie są godne miejsca pracy, czyste powietrze, czas, bezpieczeństwo, mieszkania. Deficyt w suwerennej walucie to narzędzie, by te braki zasypywać – celowo, demokratycznie, ekologicznie. A cła Trumpa? To polityka, która próbuje nieskutecznie leczyć społeczną ranę (bezrobocie i rozpad wspólnot): głośno, widowiskowo, ale jałowo.

Przyjrzyjmy się więc tej dziurze w budżecie jeszcze raz i nazwijmy ją po imieniu: to nie czarna dziura. To niewykorzystana szansa na faktyczną zmianę ekonomicznej i społecznej rzeczywistości. A pytanie brzmi nie „czy nas stać?”, tylko „czy mamy odwagę użyć własnego pieniądza do obrony ludzi i planety, zamiast do obrony mitów, które karmią tylko kastę oligarchów?”.

Ale jeśli myślisz, że troszczę się tu tylko o Amerykę, to się mylisz. Szansa na rewolucyjną zmianę polityki finansowej, o jakiej tu piszę, dotyczy także Europy, a w niej i Polski. Skorzystajmy z niej, wykorzystując siłę niezależnej, suwerennej własnej waluty.

ANNA GRODZKA



Prawdziwa kasa ze sztucznej inteligencji

AI cię ozłoci

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jak przed laty śpiewała Maryla Rodowicz: „to, co nas podnieca, to się nazywa kasa, a kiedy w kasie forsa – to biznes pierwsza klasa”. Głowiąc się na początku roku nad jakimś źródłem pieniędzy, warto sięgnąć po rozwiązanie równie proste jak wszystko, co jest genialne: zaprząc do roboty sztuczną inteligencję (AI). Tylko trzeba się śpieszyć, bo już wiele osób wcześniej wpadło na ten pomysł, ale wciąż jest pole do zarobienia góry szmalu.

Ech, choć z wykształcenia filozof, to głupi koniec końców jest mój znajomy, który prowadzi na YouTubie lewacki profil „Myśleć Głębiej”. Czyta tych wszystkich wykształciuchów, tygodniami przygotowuje scenariusze dwugodzinnych czy nawet dłuższych odcinków i jest szczęśliwy, jak dana produkcja zyska 20 tys. odsłon. Frajer!

Londyński „Guardian”, który zbadał 15 tys. kanałów na YT, opisał indyjski Bandar Apna Dost, który zgromadził w sumie 2,4 mld wyświetleń. Jeśli wasze dziecko lub wnuczek ogląda namiętnie absurdalne przygody humanoidalnej małpy i przypakowanego bohatera walczących z demonami, mówiących w dziwnym języku, to właśnie jest ten kanał. Obejrzałam tam parę filmików – są króciutkie, banalne, praktycznie bez fabuły, głośne i widowiskowe. Akurat takie, aby przykuć uwagę dzieciaka paroletniego. Bo wiele najpopularniejszych produkcji celuje właśnie w bachory.

Okazuje się, że prawie co dziesiąty najszybciej rosnący na YT kanał opiera się na materiałach AI i często ma globalne zasięgi.

Właściciel platformy doskonale zdaje sobie sprawę z tego, podsycając proces swoistego odczłowieczenia prezentowanych treści. Kiedy „Guardian” zbadał, co algorytm YT podpowiada nowym użytkownikom, okazało się, że częściej niż co czwarta produkcja była stworzona przez algorytmy, charakteryzując się niską jakością, powtarzalnością i brakiem typowej dla człowieka głębi.

Gra się toczy o uwagę, którą można spieniężyć, albo raczej – jak jest dziś modne – zmonetyzować. Bo więcej odtworzeń to dłuższy czas gapienia się w ekran, co kochają reklamodawcy mogący opylić kolejny smartfon czy odkurzacz.

Zgodnie z prawem Kopernika–Greshama gorszy pieniądz wypiera lepszy: zamiast jak mój kumpel z „Myśleć Głębiej” ślęczeć długie godziny w książkach, aby przekazać coś wartościowego odbiorcom, lepiej wypuścić w tym czasie 100 odmóżdżających filmików stworzonych przez algorytm. Jeżeli będą dostatecznie głupie, pojawią się firmy płacące za lokowanie produktu i rozpocznie się dla nas okres finansowej prosperity. Szybko może okazać się, że to lukratywniejsze zajęcie niż praca na etat.

Oto dwa pomysły, które daję darmo naszym najdroższym Czytelniczkom i Czytelnikom. Humanoidalny kot ze złotym łańcuchem na szyi jedzie Porsche po autostradzie i zabiera człekopodobną kocicę w mini. Razem nucą jakiś hit i bujają się w rytm jakiegoś disco polo. A dla fanów polityki: Tusk jako wilk walczy we freak fighcie z Nawrockim jako tygrysem. Ten drugi przegrywa, ale szybko zarzuca snusa i roznosi premiera w drzazgi.

Może i inteligencja, która produkuje coraz więcej popularnych treści w mediach społecznościowych jest sztuczna, ale prawdziwe są kokosy, które na niej zarabiają sprytni ludzie!

Z.J.

eprasa.pl 1fb3d366b7

Bajki dla myślących

Epidemia celna – 3 euro

Pieniądze to nie wszystko

Jeśli tak jak ja nie należysz do krezusów, to wieść o tym, że Unia Europejska wprowadza od 1 lipca 2026 r. cło na małe paczki spoza UE (chodzi przecież o Chiny: Temu, AliExpress itp). wkurzyła cię tak jak mnie. Będzie drożej, a bidakom trudniej. I pewnie w tej złości nie jesteśmy sami. Jeśli tak, to wieści te nie są dobre dla euroentuzjastów, bo nacjonalistycznej prawicy krzywa wzrośnie.

Przez najbliższe pół roku będziemy musieli słuchać szumu rzeki propagandy, jaka będzie płynąć z mediów o tym, jak podatek celny jest konieczny, dobry i zbawienny. Nie mam nic przeciw podatkom, ale tylko wtedy, kiedy płacą je ci, którzy mają z czego. Gówno obchodzić będzie naszych politycznych polskich i europejskich celebrytów, że podatki dowalą najniższemu decylowi w rozkładzie nierówności – czyli bidakom. Sami krótkowidze czy jak?

A ponieważ nasłuchasz się jeszcze wiele o zaletach cła, to bajki dla myślących są po to, abyśmy razem pomyśleli i nie zapomnieli także o wadach.



Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Są takie kwoty, które brzmią jak żart: trzy euro – duperela. Cena kawy na dworcu w Berlinie, napiwku w paryskiej knajpie, bilon zgubiony w kieszeni marynarki europejskiego komisarza. Trzy euro – tyle Unia Europejska postanowiła dorzucić do każdej paczki spoza wspólnoty. Ot, techniczna korekta. Racjonalizacja. Walka z nieuczciwą konkurencją dla naszego biznesu. Jak zawsze.

Ale ja, rozmawiając z tobą, wiem jedno: to nie jest historia o trzech euro. To jest historia o tym, komu wolno tanio żyć, a komu już nie. Bo ta opłata nie spada z nieba równo na wszystkich. Ona spada pionowo na tych, którzy i tak liczą każdy grosz. W Polsce trzy euro to nie jest „symboliczna opłata manipulacyjna". To jest realny procent ceny produktu. To jest 30, 50, czasem 100 proc. wartości drobiazgu zamawianego w Chinach, bo lokalnie podobny kosztuje trzy razy więcej albo nie istnieje wcale. I wyznam, że najfajniejsze ciuchy w ostatnim czasie dotarły do mnie w paczce z Chin. W polskich sklepach odpowiednich dla mnie nie znalazłam.

Mechanizm jest stary jak neoliberalizm: regresywna równość. Taka, w której wszyscy płacą tyle samo, ale nie wszyscy płacą tak samo boleśnie. Emerytka zamawiająca wnukom zabawkę płaci „tylko" trzy euro. Student składający tani komputer z chińskich podzespołów – też. Mikroprzedsiębiorca testujący prototyp – również. A wielka sieć handlowa? Kupuje hurtem – zauważa tylko, że teraz może podbić cenę. I tu dochodzimy do sedna: to nie jest opłata celna, to jest filtr klasowy – podatek.

A środowisko? Tu propaganda robi się szczególnie bezczelna. Bo owszem, paczka leci z Chin. Ale najczęściej jest to produkt zapakowany jedynie w cienką foliową torebkę czy kartonik. Tymczasem koszt środowiskowy wyprodukowania kupowanego przez ciebie towaru jest wielokrotnie większy. Teraz ponoszą go coraz częściej pracujący na odnawialnej energii Chińczycy – potem my – póki co głównie na bazie węgla.

Jest jeszcze ktoś, kogo w tej debacie nie widać. Osoba starsza. Osoba z niepełnosprawnością. Dla niej, jeśli nie znajdzie tego, czego szuka w ofercie polskiego internetu, wyjście do galerii handlowej nie jest neutralną opcją, tylko logistyczną wyprawą. Dla tych ludzi darmowa dostawa do domu nie była luksusem, lecz wyrównywaniem szans. Teraz słyszą: radź sobie sam. Unia tak chce.

Ale rynek chce jeszcze jednego. Chiny produkują w skali i asortymencie, której nie da się odtworzyć w polskich warunkach – to realia globalnej produkcji. Nie istnieje dziś szeroka, tania, polska alternatywa dla tysięcy drobnych, często unikalnych produktów.

A państwo? Państwo zapłaci – też poniesie koszty. Administracją, procedurami, wyrywkowymi kontrolami. Koszt obsługi może w znacznym stopniu niwelować wpływy. Ale to problem księgowości, więc nikt nie chce o nim mówić. I tak ktoś powie: „to ochrona europejskich firm". Tylko że chronione są firmy duże, stare, syte. W dodatku gdzie im tam do różnorodności asortymentu i pomysłowości drobnych chińskich wytwórców.

I jeszcze ten argument o normach. Że niby badziewie, że niebezpieczne, że niezgodne. Tylko że cło na paczki niczego nie sprawdza. Nie bada jakości i dostosowania do europejskich norm. Nie podnosi standardów. Jest wyłącznie opłatą za przekroczenie granicy. Jeśli coś było niebezpieczne wczoraj, będzie niebezpieczne jutro – tylko droższe.

A teraz bajka: wyobraź sobie inną Europę. Nie tę z folderów albo marzeń, tylko taką, która naprawdę pamięta, że powstała dla ludzi. W tej Europie opłaty celne są progresywne, a nie ryczałtowe. Mała paczka – mały koszt. Duży import – realna odpowiedzialność. W tej Europie obywatel jest traktowany jak zasób, a nie jak problem administracyjny. A innowacja nie zaczyna się dopiero wtedy, gdy ktoś ma milion euro kapitału wejściowego. Nawet nacjonalista nie ma się na co wkurzać.

Wyobraźmy sobie Unię, która zamiast karać tanie zakupy, inwestuje w tanią logistykę publiczną, wspólne platformy zakupowe, europejskie odpowiedniki AliExpress – ale uczciwe, spółdzielcze, z kontrolą warunków pracy i środowiska.

Wyobraźmy sobie Unię, która rozumie, że dostępność dóbr to nie fanaberia konsumencka, tylko element godnego życia. Unię, która dba o jakość wprowadzanych na rynek spoza Unii towarów, a nie tylko opodatkowuje paczki.

I w tej Europie ktoś wreszcie mówi głośno: sprawiedliwość to nie jest równość opłat, tylko równość szans. To są rozwiązania, które istnieją – w podatkach progresywnych, w lokalnych łańcuchach dostaw, w spółdzielczości, w publicznej logistyce, w polityce przemysłowej, która nie wstydzi się słowa „wspólnota" i co ważne – nie wkurza „narodu".

A bajki – jak wiemy – są po to, żeby wskazywały drogę. Tylko kto poza nami dziś jeszcze czyta bajki?

ANNA GRODZKA

Życie w dobrobycie

Nowy Rok dopiero co się zaczął, a już robi się interesująco. Szczególnie w kopalni odkrywkowej Tomisławice. Ludzi będzie tam coraz mniej, bo jak radośnie przyznał prezes Zespołu Elektrowni Pątnów–Adamów–Konin, „czekają nas naprawdę duże zwolnienia". I duże to mało powiedziane. Gdy ktoś zaczyna rok od komunikatu, że z 900 pracowników zostanie 200, to znaczy, że część ludzi zacznie 2026 r. nie od szampana, ale od szukania nowej roboty. A wszystko przez wygaszanie ostatniej czynnej odkrywki. Tomisławice kopią jeszcze do marca 2026 r., ale tylko po to, by obsłużyć blok rezerwowy elektrowni Pątnów. Roczne wydobycie kopalni to 1,5 mln ton. A zapotrzebowanie, jakie zgłosiła elektrownia po marcowej dacie granicznej, wynosi 75–100 tys. ton. Żeby zwolnieni nie narzekali, państwo przygotowało dwie ścieżki „opiekuńcze". Pierwsza to ustawa osłonowa. Druga – unijny program o wdzięcznej nazwie „Droga do zatrudnienia po węglu". Ustawa osłonowa oferuje urlopy dla tych, którym do emerytury zostały góra cztery lata, oraz odprawy roczne zamiast zbiorowych. Program unijny daje doradców, szkolenia, pieniądze na działalność, a nawet pomoc przy zakładaniu spółdzielni socjalnych. Noworocznego kaca leczymy więc nowymi danymi, nowymi narracjami i nowymi obietnicami. Węgiel się kończy, pomoc się zaczyna, ratingi są wysokie, a firmy padają. Zaczęliśmy rok z rozmachem. A przecież dopiero styczeń.

W Polsce rządy od lat mają szczególną słabość do przedsiębiorców. Kochają ich tak bardzo, że aż trudno to wytrzymać. Więc Eskimos SA, gigant polskich mrożonek, zamiast wdzięcznie rosnąć na rynku międzynarodowym, wylądował przed sądem upadłościowym. Firma znana z brokułów, kalafiorów i całej reszty warzyw, które miały nieść polską markę w świat, zamarzła na kość, a wierzyciele mają 30 dni, żeby zgłosić roszczenia, zanim cały majątek rozpłynie się jak mrożonka wyjęta z zamrażarki i odstawiona na parapet. „Bezpośrednią przyczyną trudnej sytuacji finansowej spółki był brak rozliczenia Programu Stabilizacji Cen". Problemy zaczęły się w 2018 r., kiedy Eskimos wciągnął się w państwowy program skupu jabłek przemysłowych. Obiecywano złote góry, a pieniędzy zabrakło, papierów przybyło, firma zaś, zamiast pomagać plantatorom, zaczęła sama tonąć w długach. W tle pojawił się też polityczny smaczek, bo prokuratura postawiła zarzuty byłemu ministrowi rolnictwa. Według śledczych minister wraz z innymi urzędnikami udzielał Eskimosowi gwarancji na 120 mln zł, choć spółka miała problemy finansowe większe niż średnia krajowa i żadnych realnych możliwości wykonania programu. Gwarancje uruchomiono, a skarb państwa stracił niemal 100 mln zł. Firma budowała pozycję latami, współpracowała z plantatorami, eksportowała do ponad 20 krajów i mogła dalej działać, gdyby nie to, że uwierzyła w państwową pomoc. Poprzedni rząd obiecał jej parasol ochronny, a zamiast tego podał jej wiadro z kamieniami. Obecny, choć chętnie opowiada o uzdrawianiu gospodarki, pozwolił, by Eskimos zniknął z rynku jak wiele innych firm, które państwowa troska po prostu przerosła.

PiS od miesięcy zarzuca ekipie rządzącej, że nie potrafi ściągać podatków tak, jak to czynił Mateusz Morawiecki. I oto na scenę wkracza Krajowa Administracja Skarbowa zasilająca aktualną legendę ekonomiczną marzeniami o odzyskaniu 117 mld zł. Bo właśnie tyle ma wynosić kwota nieprawidłowości, jakie KAS objęła swoim czujnym spojrzeniem. „Krajowa Administracja Skarbowa objęła swoim działaniem 164 podmioty, a łączna kwota nieprawidłowości to ponad 117 mld zł" – brzmi komunikat. Problem polega jedynie na tym, że owe miliardy są tak samo materialne jak jednorożec zbudowany z mgły. KAS dzielnie tropi, analizuje, ustala, klasyfikuje i zapowiada, że „przewiduje się złożenie kolejnych zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa". I gdyby za każde zawiadomienie spływała kasa, bylibyśmy najbogatszym krajem na świecie. Lista grzechów, które KAS wypisała, przypomina spis grzechów głównych biznesu. „Naruszenie zasad przyznawania i rozliczania dotacji", „wydatkowanie środków sprzecznie z planem finansowym", „niegospodarne wydatkowanie środków publicznych", „działanie bez podstawy prawnej" – wszystko to, co w państwowych instytucjach uchodzi raczej za standard niż za odstępstwo. Dyrektorzy izb administracji skarbowej złożyli dotąd 186 zawiadomień do prokuratury na łączną kwotę ponad 103 mld zł, co w praktyce oznacza, że każdy zawiadamia o średnio połowie nowej elektrowni atomowej. Do tego 105 zawiadomień do rzecznika dyscypliny finansów publicznych. Skończy się to pewnie w polskich sądach, gdzie na wyrok czeka się dłużej niż na nadejście nowej epoki geologicznej. Rządzący mogą jednak mówić, że sprzątają bałagan po poprzednikach. PiS – że obecna władza nie potrafi ścigać złodziei. KAS – że wykrywa miliardy. Media – że dzieje się wielka rzecz. A podatnik – że te miliardy są tak samo realne jak jego nadzieja, że ktoś kiedyś naprawdę będzie pilnował publicznej kasy.



Rys. WIDGET

Rząd z zapałem opowiada, że polskie PKB napędza nasza indywidualna konsumpcja, czyli kupowanie wszystkiego, co polski konsument jest w stanie unieść, przewieźć lub choćby kliknąć. Według tej opowieści wystarczy, że obywatel kupi dwie pary butów, trzy kosze z Ikei i pięć kilogramów pomidorów, a gospodarka rośnie jak drożdżówka w piecu. Wszystko więc wygląda znakomicie, dopóki nie spojrzeć na sklepy, które ten cudowny konsumpcyjny boom powinny przekuwać w gigantyczne zarobki. A tu tymczasem grupa Eurocash, jeden z najważniejszych graczy w polskim handlu, ogłosiła, że zamyka 150 Delikatesów Centrum i zwalnia 3 tys. pracowników. Jeśli to jest objaw konsumpcyjnego boomu, to aż strach pomyśleć, jak wyglądałby kryzys. Zgodnie z ogłoszoną strategią Eurocash chce „optymalizować koszty", czyli tłumacząc na język normalny: zwalniać ludzi i zamykać sklepy, bo na samej konsumpcji jakoś biznesowi nie wychodzi. Rządowi eksperci opowiadają, że portfele Polaków trzymają gospodarkę na powierzchni. Tymczasem handel uderza w ścianę, bo polska konsumpcja najwyraźniej ma się znakomicie, tylko ludzie przestali jakoś chcieć kupować.

„Restrukturyzacja to dla wielu zadłużonych firm jedyna realna szansa na uniknięcie bankructwa". Jeszcze niedawno takie zdanie w artykułach gospodarczych brzmiało jak zastrzeżenie drobnym druczkiem. Dziś jest już nagłówkiem. Bo, jak twierdzą portale gospodarcze, „nie ma przedsiębiorstwa, którego nie dałoby się uratować – pod warunkiem że działania zostaną podjęte właściwie i na czas", co w tłumaczeniu z prawniczego na polski oznacza: ratuj się, kto może. Dane nie pozostawiają złudzeń. W okresie lipiec–wrzesień ogłoszono aż 100 upadłości przedsiębiorstw. W tym samym czasie upadłości konsumenckie wzrosły o 27 proc. rok do roku. Jeśli więc rząd z dumą powtarza, że gospodarka oparta na popycie wewnętrznym ma się znakomicie, to liczba firm jadących na oparach pokazuje co innego. W trzecim kwartale 2025 r. zainicjowano 1238 procedur restrukturyzacyjnych – o 10,3 proc. więcej niż rok wcześniej. W teorii niewypłacalność nie musi oznaczać końca firmy. Prawnik radzi, że można zacząć postępowanie już wtedy, „gdy pojawi się zagrożenie niewypłacalnością". Innymi słowy – nie czekaj, aż zabraknie ci pieniędzy. Prawo opisuje cztery rodzaje procesów restrukturyzacyjnych, a każdy z nich wygląda niczym menu w restauracji dla firm tonących: wybierz wariant, który pozwoli ci jeszcze chwilę popływać. Wbrew rządowemu optymizmowi portale gospodarcze przygotowują przedsiębiorców nie na rok szans, lecz na rok, w którym kluczowym dokumentem stanie się „propozycja układowa dla wierzycieli". Bo wygląda na to, że w 2026 r. najważniejszym polskim rynkiem nie będzie rynek pracy, nieruchomości ani nawet rynek konsumenta, ale rynek restrukturyzacji.

TTJ

eprasa.pl 1fb3d366b7

ETYKA BEZBOŻNA

Między teologią a ekonomią

Koszulka dla Jezuska



Rys. TOMASZ WIATER

Miałem przyjemność uczestniczyć w zaledwie trzech katechezach. Na tej trzeciej pani katechetka popatrzyła na mnie spode łba i rzekła: „Ej, Jasiu, ty to chyba Żydek jesteś”. Po tym incydencie ojciec zasugerował, że może bym zaprzestał edukacji religijnej. Zgodziłem się z nim, przez co moja „formacja” chrześcijańska została zatrzymana na etapie, by tak rzec, wczesnoporonnym.

Dobrze, że chociaż byłem pilnym i uważnym uczniem. Do dziś pamiętam dwie nauki pani katechetki, obie zresztą odnoszące się do Żydów. O Jezusie powiedziała, że tym się on różni (różnił?) od reszty ludzi, że kochał wszystkich i to bezwarunkowo, bez względu na to, jacy są. Nie mogłem tego pojąć i zapytałem, czy gdyby człowiek miał przypadkiem wszelkie cechy krowy, to Pan Jezus kochałby go również. No bo skoro cechy nie mają znaczenia, to w czym problem? Druga nauka wstrząsnęła mną bardziej – może dlatego, że dotyczyła kobiety. Otóż pani katechetka zapewniała nas, że Maryja Panna zawsze dziewica (tego wówczas nie rozumiałem, ale pytać nie śmiałem) jest (była?) jedynym w świecie człowiekiem, który nigdy, przenigdy nie zgrzeszył. Za to my, zwykli śmiertelnicy grzeszymy, jak nas zapewniała, w każdej minucie!

Do dziś ta sprawa nie daje mi spokoju. Wierzcie mi albo nie, ale naprawdę od ponad pół wieku niemal każdego dnia zastanawiam się nad tą dziwną, nieludzką świętością. A czym bardziej się zastanawiam, tym bardziej niedorzeczny wydaje mi się koncept absolutnej niewinności. Zwłaszcza gdy zestawić go z tym drugim, o którym mówiła pani katechetka, to znaczy z konceptem nieusuwalnej i ciągłej winy.

Człowiek jest niedoskonały i wszystko, co czyni, skażone jest tą niedoskonałością. Również moralną. Nawet gdy robi coś pięknego i dobrego, to jest w tej beczce miodu łyżka dziegciu. A to jego intencje nie są całkiem czyste, a to staranności nie dołoży, a to znowu w czymś będzie nieostrożny. Ciągle bruka swoje uczynki swoją wewnętrzną nieczystością, którą katolicy nazywają grzechem pierworodnym.

Jezus robił wiele rzeczy, które byłyby całkiem grzeszne, gdyby nie to, że jako Bogu, wszystko mu wolno – jest poza zakresem ocen moralnych. Drzewo figowe ubezpłodnił, kupców pobił, do mamy brzydko się odzywał itd. Jemu wolno. Ale Maryja? Jak to możliwe, że będąc zwykłym człowiekiem, uniknęła wszelkiej, nawet najmniejszej moralnej niedoskonałości?

Spróbujmy to sobie wyobrazić. Co to znaczy „być bez grzechu”? Czego nie robiła Maryja, a robią wszyscy? Sprawdźmy. No więc tak: nigdy nie przejawiała zniecierpliwienia ani irytacji; nigdy nie wykonała niczego niestarannie; nigdy nie pozostawiła po sobie najmniejszego nieporządku; nigdy nie zaniedbała żadnej modlitwy; nigdy nie pomyślała niesprawiedliwie o bliźnim; nigdy nie minęła się z prawdą; nigdy nie poczuła pożądania i nie wyobraziła sobie niczego nieprzystojnego; nigdy nie była nieposłuszna wobec ojca ani matki; nigdy nie minęła obojętnie człowieka w potrzebie; nigdy nie zapomniała o żadnym obowiązku ani zobowiązaniu, wszystko wykonując na czas i w całości; nigdy nie zachowała się nieuprzejmie ani nonszalancko; nigdy nie skarciła dziecka w nieodpowiedni sposób; nigdy nie uchybiła mężowi ani nikomu innemu; nigdy nikomu nie zazdrościła, źle nie życzyła; z cudzego nieszczęścia ani trochę się nie ucieszyła. No i do tego nie objawiła nigdy pychy, a więc przypisywała sobie grzeszność i za swoje (niepopełnione) grzechy przepraszała Boga i bliźnich.

Zaraz, zaraz. Wchodzimy tu jakoś na grząski grunt sprzeczności. Nie można być jednocześnie skromnym i wiedzieć, że jest się bez grzechu. Wiedzieć coś takiego i myśleć tak o sobie to wielka pycha. A uważać za grzech swoje uczynki, które grzechem wcale nie były, to właściwie to samo, co uczynić je grzesznymi. Bo skoro znające tajniki serca sumienie tak mówi, to chyba wie lepiej. Podobnie sprzeczne bywają cnoty.

Nie da się być odważnym i pokornym – czymś trzeba być nieco bardziej. Ludzki charakter nie jest jak zegarek – nie da się zestroić wszystkich jego elementów do bezgrzeszności jak zegarek zestrajamy do ścisłego pokazywania czasu.

Zawsze jest coś za coś. No i wreszcie to, co najbardziej rzuca się w oczy, gdy myślimy o moralnej doskonałości: no, po prostu nie da się wszystkiego pogodzić i wszystkim dogodzić!

I tu jest właśnie pies pogrzebany. Nasze życie moralne naznaczone jest fundamentalną niesprawiedliwością, wynikającą z rządów serca. Dobry człowiek przejmuje się tym, co widzi, i tymi, których widzi i którzy są mu bliscy. A są bliscy, bo są blisko. Nie mówi żebrakowi: „nie ma powodu, abym dał ci złotego, a stu innym, akurat tu nieobecnym, ani grosza”. Po prostu daje, jeśli ma i może. A potem drugiemu nie da, bo już tamtemu dał. Stronniczość i zawężenie horyzontów troski oraz obranych celów działania jest nieuniknione i znamionuje nawet piękne postępki. Tylko że są one z tego powodu niedoskonałe.

Czy Maryja dawała żebrakom jednemu za drugim, aby nie być niesprawiedliwa? A przy dwudziestym mówiła „dość”, bo zabrakłoby na koszulkę dla Jezuska? A tańszej koszulki kupić to nie łaska? Wtedy by i na jałmużnę dla dwudziestego żebraka starczyło. Jałmużna nie jest obowiązkiem, podobnie jak ścisła bezstronność i zapominanie o sobie i własnych potrzebach. Tylko że tak jest w przypadku zwykłych ludzi. Kandydatom do bezgrzeszności stawia się jednakże wymagania maksymalne. Tu już nie ma wyraźnej granicy między moralnymi obowiązkami i czynami ponadobowiązkowymi. Bo jak to by było? Maryja zrobiła swoje, wykonała moralne minimum, a więcej to jej się nie chciało? Nie poświęcała się dla innych, nie ryzykowała, nie męczyła się, pracując w pocie czoła dla dobra bliźniego swego? No chyba nie? A gdyby jej ojciec albo mąż nie pozwolił? To wtedy wybierała nieposłuszeństwo czy może mówiła: sąsiadko, nie przyjdę dziś, by pomóc ci nakarmić sparaliżowanego ojca, bo mi Józef nie pozwala?

Nie, z tą bezgrzesznością to jednak jakiś absurd. Po prostu Maryja to postać bogini (choć się tak nie nazywa), a o bogini nie wolno brzydko mówić. Musi być najpiękniejsza (choć nie seksowna), najmądrzejsza i najlepsza. W sumie nawet dobrze. Niech jej będzie. Tylko dlaczego, jak wszyscy pastuszkowie bieżeli do Betlejem, to w tej całej gospodzie ze stajenką ludzie nic nie wiedzieli? A skoro królowie przybyli, i to ze złotem, to czemu się towarzystwo nie przeniosło do lepszego lokum? Dzieciństwo upłynęło mi na takich rozkminach teologiczno-ekonomicznych, po czym łacno rozpoznać mą wrodzoną skazę. Ale o tym to już innym razem. Szczęśliwego nowego roku! Obyśmy w nim mało grzeszni byli, a za rok spotkali się tu w komplecie!

JAN HARTMAN

SŁOWO CZERWONE

Sadzić, palić, zalegalizować!

O uwolnienie marihuany


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy zamknięto Andrzeja Dołeckiego, przywódcę ruchu na rzecz legalizacji marihuany i prezesa Stowarzyszenia Wolne Konopie, na ulice wyszło 25 tys. młodych ludzi w wieku od 16 do 26 lat. Skandowali: „Sadzić, palić, zalegalizować”. Kiedy wybuchła wojna na Ukrainie, Dołecki zaczął jeździć na front ze sprzętem. Ale wyłącznie obronnym. Kamizelki, hełmy itp. Przyznał, że w głębi duszy jest pacyfistą, ale każdy przecież ma prawo się bronić. Na Ukrainę jeździł już wcześniej. Ma tam wielu przyjaciół. Niektórzy z nich zginęli. Podczas wojny przestano na Ukrainie karać za palenie i posiadanie marihuany.

W Polsce trawę palą jakieś 2 mln osób. Głównie młodych. Kiedy wpadają, dostają wyroki w zawieszeniu. Ale gdy ich łapią z jointem po raz drugi, mogą trafić do więzienia nawet na trzy lata. W Europie nie ma kraju, gdzie zioło jest legalne. Holenderskie coffee shopy to wybieg pozwalający omijać prawo. Nawet w Czechach nie ma pełnej legalizacji. Choć prezydent Vaclav Havel twierdził, że za jego prezydentury nikt nie będzie siedział za trawę. I dotrzymał słowa. Ułaskawił setki osób.

Czy trawa jest nieszkodliwa? Nie, twierdzi Andrzej. Przeciwskazaniem są względy medyczne. Trawa potęguje stan, w którym jesteś. Jeżeli masz w rodzinie osoby cierpiące na choroby psychiczne, nie sięgaj po marihuanę, podobnie gdy masz kłopoty z sercem. Ale zdrowemu młodemu człowiekowi poprawia nastrój i nie szkodzi. Legalizacja przyniesie konkretne zyski państwu. I z tych pieniędzy chcemy podjąć akcje uświadamiające ryzyko wynikające z sięgania po ten lekki, ale jednak narkotyk.

Dlaczego zaangażował się w kampanie na rzecz legalizacji? Bo nie widzi powodu, żeby gandzia była nielegalna, podczas gdy o wiele szybciej i mocniej uzależniające alkohol i papierosy są legalne. Bo nie chce, by ten owoc zakazany przyciągał małolatów tylko dlatego, że jest owiany nimbem buntu. Wreszcie wiele życiorysów młodych palaczy potoczyło się tragicznie w wyniku represji wobec użytkowników trawy.

Nie mają zbyt wielu sojuszników, ale też nie ma tak wielu wrogów. Jedynie PiS coś zrobił dla tej sprawy, wprowadzając możliwość kupowania medycznej marihuany na receptę. Ale to jest klasowe i niesprawiedliwe.

Jak ktoś ma dość kasy, żeby pójść prywatnie do lekarza i dostać receptę, to pali legalnie. A ci z chudszym portfelem za to samo mogą pójść siedzieć.

Mimo to paradoks jest. Jedynie konserwatywna prawica coś zrobiła dla palaczy. Palą wszyscy od lewa do prawa. A nad salą sejmową unosi się też zapach kokainy.

Andrzej trzyma się zioła. Po cięższe dragi nie sięga. Tusk to łajza. Sam pali, w czasie wyborów robi oko do palaczy, że niby coś zrobi w kierunku legalizacji, i nic nigdy nie zrobił.

Konopie można różnie stosować. Służą między innymi do wytwarzania kamizelek kuloodpornych. Dokładnie takich, jakie woził na front ukraiński. Bo włókno konopi jest bardzo twarde.

Dla Andrzeja palenie skrętów to jakiś wymiar wolności. Ale sam przestrzega przed uzależnieniem, nadużywaniem. Zresztą, jeśli idzie o wolność, to bierze udział w wielu ruchach i protestach. Bezpłatnie od lat podjeżdża na nasze pierwszomajowe pochody i zapewnia nagłośnienie. Nieobce mu są także blokady eksmisji. Sam jest socjalistą i nie boi się o tym publicznie mówić. Należy do średniego pokolenia buntowników, ale za nim idzie młodzież.

Na początek potrzebujemy choćby depenalizacji. Do pełnej legalizacji doszło tylko w dwóch krajach: Urugwaju i Kanadzie. I spożycie w tych krajach nie wzrosło. Upada więc koronny argument przeciw legalizacji. Legalizacja oznacza, że będzie można marihuanę kupić w kiosku, płacąc cenę zawierającą akcyzę. A depenalizacja to kupowanie gdzieś w bramie, ale bez wyłapywania palaczy i posiadaczy przez policję.

PIOTR IKONOWICZ

WIEŚCI GMINNE i INNE

Kamery Wód Polskich zarejestrowały dwa delfiny w Odrze w Szczecinie, w okolicach Mostu Pionierów. Na początku uznano je za morświny, ale szybko wyszło na jaw, że to jednak delfiny zwyczajne. Identyfikację potwierdzili Robert Maślak oraz Iwona Pawliczka vel Pawlik, czyli ludzie, którzy naprawdę wiedzą, z której strony delfin ma płetwę. Pierwsza hipoteza naukowa jest brutalnie prosta: delfiny znalazły się w Odrze, bo zwariowały albo – w wersji bardziej dyplomatycznej – uległy dezorientacji echolokacyjnej wywołanej hałasem statków.

W szpitalu psychiatrycznym w Kościanie zatrzymano siedem osób, w tym kierownika oddziału psychiatrii. Są podejrzani o korupcję i fałszowanie dokumentacji medycznej. Sprawą zajmują się prokuratura i policja z Poznania. Lekarze wystawiali zaświadczenia osobom całkowicie zdrowym na umyśle, które bardzo chciały uchodzić za obłąkane. Żółte papiery otwierały drzwi do zasiłków, rent, świadczeń rehabilitacyjnych, a nawet uniknięcia odsiadki. Psychiatrom grozi osiem lat więzienia. No, chyba że ktoś orzeknie, że sprawcy w momencie popełniania czynów byli niepo-

eprasa.pl 1fb3d366b7



Rys. JANUARY

Rzeczpospolita samosądna

Ormowców ci u nas dostatek

Daniel wracał z Jelcza-Laskowic jak zawsze. Na peronie zobaczył kilku mężczyzn ubranych w czarne bluzy z dużym napisem „łowcy pedofilów". Wsiadł do pociągu, ale zanim zdążył wyjąć telefon, faceci w czarnych bluzach weszli do wagonu. Stanęli po obu stronach przejścia. Najwyższy z nich zrobił krok do przodu i wypalił na cały wagon: „To pedofil. Przyjechał spotkać się z małą". Pasażerowie spojrzeli na Daniela jak na kogoś, kogo właśnie złapano na gorącym uczynku. Nikt nie spytał o dowody.

Pomylony

Drugi z łowców dodał: „Przyjechałeś tu ze Śląska, tak? Miałeś maskotkę dla dziewczynki. Wyciągnij ją". Daniel cofnął się o pół kroku, ale nie miał dokąd. Wyciągnął telefon i zadzwonił pod 112. Wypowiedział tylko kilka zdań, a łowcy rzucili się, by wyrwać mu aparat. „Nie kombinuj, i tak cię mamy!" – rzucił jeden z nich. Pociąg jakby zwolnił. Ludzie zaczęli nagrywać.

W końcu wagon otworzył się ponownie i wejście policji przecięło tę groteskową scenę. Konduktorka odsunęła się na bok. Funkcjonariusze wysłuchali opowieści łowców, wysłuchali Daniela, zobaczyli, że ludzie filmują, że tłum jest pobudzony. I – zakuli Daniela w kajdanki. Nie agresorów. Nie tych, którzy dokonali czegoś na kształt pozbawienia wolności. Nie tych, którzy rzucili publiczne oskarżenie bez dowodów. Skrępowano ręce temu, który sam wezwał policję.

Przesłuchiwano go godzinami. Sprawdzano jego telefon. Policjant za policjantem przeglądali wiadomości, pliki, historię przeglądania. Zero. Nic. Pustka tak doskonała, że aż absurdalna w kontekście oskarżeń. W końcu padły słowa, które miały być pocieszeniem, a brzmiały jak policzek: „Doszło do pomyłki".

Pomyłki? Człowieka publicznie zniesławiono, otoczono, zastraszono, wywleczono z pociągu w kajdankach, spędził pięć godzin na komisariacie, nagrano go telefonami, może wrzucono do sieci, a to wszystko pod szyldem grupy, która nawet nie była tą, za którą się podawała. ECPU Polska – największa organizacja łowców w kraju – odcięła się natychmiast, wydając oświadczenie, że osoby te bezprawnie używały ich logo, podszywając się pod ich działalność. Lider fundacji zaoferował Danielowi pomoc prawną, bo nawet oni zrozumieli, że przekroczono granicę, która nie powinna istnieć w żadnym cywilizowanym państwie.

Ale Daniel był w Polsce, kraju, gdzie konsekwencje błędów często ponoszą ci, których skrzywdzono. Kraj, w którym zakonnice potrafią bić dzieci i zamykać je w ciemnych pokojach, tłumacząc to harmonią, urzędnicy potrafią przez lata wynosić pieniądze z publicznych kas, a żywy człowiek może być przez państwo uznany za zmarłego i przez wiele miesięcy nie da się tego odkręcić. W takim państwie kilku mężczyzn z prasowanym nadrukiem na bluzie naprawdę sądzi, że może osądzać ludzi według własnego widzimisię.

W kraju, w którym każdy może zrobić z siebie sędziego, łatwo zapomnieć, że prawo istnieje po to, by chronić ludzi przed samosądem.

Zło się czai

W zbiorowej wyobraźni pedofil to gość śliniący się przy płocie przedszkola. Tłusty osobnik czający się w krzakach przy placu zabaw. Gość w kapturze, który szepcze dzieciom na ucho i rozdaje cukierki. Zaś prawdziwe niebezpieczeństwo tak nie ma. Czasem siedzi przy rodzinnym stole. Czasem trzyma kamerę na szkolnym przedstawieniu. Czasem mówi do dziecka „kochanie", bo tak kazała mówić mama.

Statystyki są nieubłagane, ale też – wbrew medialnym krzykom – nie wskazują na epidemię. Państwowa Komisja ds. Pedofilii, instytucja utworzona do systemowego badania i przeciwdziałania temu zjawisku, prowadziła dotąd kilkaset spraw. To liczby bolesne, ale – w skali kraju – niewielkie. Zdecydowana większość dzieci w Polsce nigdy nie padła ofiarą tego rodzaju przemocy. I to jest dobra wiadomość. Bo choć tragedia jednostki nie traci na znaczeniu przez to, że była jednostkowa, to jednak nie wolno jej rozciągać na cały krajobraz społeczny.

Z raportu komisji wynika jasno, że w około 38 proc. spraw sprawcą był ktoś z rodziny. Rodzic, wujek, brat, dziadek. Ludzie, którzy powinni chronić – a krzywdzili. Ale równie często sprawca był kimś niespokrewnionym, lecz obecnym w codzienności dziecka. Trenerem. Katechetą. Znajomym mamy. Sąsiadem. Spośród tej grupy najliczniejszą kategorię stanowili duchowni. Za nimi nauczyciele, opiekunowie, sportowcy, lekarze. Ludzie zaufania publicznego. Ludzie z autorytetem.

Raport Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę z 2023 r. pozwala zobaczyć ten problem szerzej. W badaniu przeprowadzonym wśród młodzieży w wieku od 13 do 17 lat 8 proc. badanych przyznało, że doświadczyło wykorzystywania seksualnego z kontaktem fizycznym. To dużo. Kilka razy więcej, niż dociera do policji. Więc albo pytanie zostało zadane źle, albo policja nie ma pojęcia o skali zjawiska.

Znacznie więcej młodych ludzi – bo aż 26 proc. – doświadczyło form wykorzystywania seksualnego bez kontaktu fizycznego. Niechciane wiadomości, pornografia, świńskie komentarze, cyberprzemoc. Internet otworzył drzwi do nowych form krzywdzenia.

Z raportu wychodzi, że pedofile to w przeważającej mierze mężczyźni. Zwykle dorośli. Często zatrudnieni. Czasem z własnymi dziećmi. Nie są to potwory czy osoby z marginesu. Aż 70 proc. z nich określiło swoją sytuację ekonomiczną jako dobrą lub przeciętną. Ponad 60 proc. było zatrudnionych. Tylko 35 proc. nadużywało alkoholu lub innych substancji. Nie byli to bohaterowie kroniki kryminalnej. Byli zwykli.

I wbrew pozorom większość pedofilów nie używa przemocy. Nie zostawia siniaków. Nie grozi. Oni uwodzą. Stopniowo zyskują zaufanie dziecka. Tworzą więź. Nie potrzebują mroku piwnicy. Wystarczy pokój z zabawkami i zamknięte drzwi.

Nie znaczy to jednak, że każda relacja dorosłego z dzieckiem jest podejrzana. W polskim kodeksie karnym przestępstwa seksualne wobec małoletnich regulowane są przede wszystkim w artykule 200. Co roku toczy się w Polsce około 2 tys. postępowań na jego podstawie. Na tle całego wymiaru sprawiedliwości – niewiele. Pokazuje to jasno, że choć problem istnieje, nie jest epidemią.

Wnioski z tych danych są dwa. Po pierwsze, problem istnieje i wymaga realnych działań, a nie medialnych kampanii strachu. Po drugie, skala zjawiska, choć niepokojąca, nie usprawiedliwia zbiorowej paniki. Bo o ile jedno dziecko skrzywdzone to za dużo, o tyle straszenie całych pokoleń dzieci i rodziców jest nie mniej niebezpieczne.

Linczowanie klikalnością

Ten strach zrodził łowców – ludzie bez uprawnień, procedur, bez kontroli sądowej ani policyjnej dzięki mediom zaczęli uchodzić za bohaterów. Problem w tym, że cała ta machina działa w całkowitym oderwaniu od prawa. Łowcy nie mają prawa prowadzić prowokacji, nie mają prawa zatrzymywać, nie mają prawa nikogo osaczać. I mimo to robią to regularnie, z pełnym przekonaniem, że działają w słusznej sprawie.

A społeczeństwo, które żąda szybkiej sprawiedliwości, chętnie to ogląda, lajkuje, udostępnia. Im więcej jadu, tym lepiej. Im mocniejsze słowa, tym większy zasięg.

„Pedofil złapany" – piszą. Nawet jeśli nikt nie złożył zawiadomienia do prokuratury. Nawet jeśli nie ma żadnego dziecka, żadnej rozmowy, żadnego spotkania. Jest tylko dorosły, przebrany za dziecko. To wystarcza, by wydać wyrok.

A prawo mówi jasno – nie każde obrzydliwe zachowanie jest przestępstwem. Nieudolne przygotowanie do czynu zabronionego nie podlega karze. Nie można karać za rozmowę z osobą, która tylko udaje dziecko. To nie jest gorący uczynek. To jest show. Zmontowany, podkolorowany, oprawiony w dramatyczną muzykę i hasztagi. Nie ma tu miejsca na dowody, na zasady procesowe, na domniemanie niewinności.

W 2022 r. zapadł wyrok, który powinien był zatrzymać ten obłęd. Sąd w Katowicach uznał jednego z łowców za winnego zniesławienia i znieważenia człowieka, którego na klatce schodowej publicznie nazwał „pedofilem" i zarzucił mu „spotkania z małymi dziewczynkami". Pokrzywdzony prowadził gabinet fizjoterapii. Po nagraniu stracił klientów, reputację, spokój. Sąd nakazał nie tylko przeprosiny i karę, ale i publikację wyroku na stronie łowcy.

Tyle że jeden wyrok to za mało. Przykład z pociągu w 2021 r. pokazuje, jak głęboko ten system się zdegenerował. Zamaskowana grupa wtargnęła do składu, zmusiła mężczyznę do wyjścia na peron, pociąg odjechał. A oni po prostu się pomylili. Zabrali mu możliwość kontynuowania podróży, zostawili na pustkowiu, odjechali. „Nie jesteś tym, kogo szukamy" – powiedzieli.

Z prawnego punktu widzenia takie działanie spełnia wszystkie znamiona przestępstwa. Pozbawienie wolności. Groźba bezprawna. Fałszywe oskarżenie. I co najgorsze – nikt nie ponosi za to odpowiedzialności, bo ofiarom nie chce się iść do sądu.

Tymczasem policja milczy. Prokuratura unika tematu. Sądy nie potrafią rozstrzygnąć, czy to jeszcze prowokacja, czy już stalking. Nawet jeśli łowcy dostarczają dowody na pedofilię, są one często nieważne. Zebrane bez procedur, bez świadków, bez autentyczności. Wykreowane. A jednak media to kochają. Z każdego nagrania robi się wiral. Gdy jedna z ofiar łowców rzuciła się pod pociąg po transmisji „zatrzymania", nikt nie przeprosił. Bo przecież coś musiała mieć na sumieniu.

Dziś nikt nie pyta o winę, tylko o to, jak szybko rozchodził się post. Sprawiedliwość to już nie sprawa sądu, to kwestia montażu. A przecież to nie łowcy mają chronić dzieci. Tylko prawo. Tylko instytucje. Tylko państwo.

TOMASZ BOROWIECKI

---

czytalni, co – nie da się ukryć – może otworzyć drogę do kolejnej afery łapówkarskiej w polskiej psychiatrii.

▮ W Elche, na słonecznym południu Hiszpanii, dwaj obywatele Polski, zainspirowani tradycją 13. Brygady Międzynarodowej im. Jarosława Dąbrowskiego, która niegdyś tłukła frankistów i hitlerowców pod Guadalajarą i nad Ebro, postanowili zrealizować nowy epizod międzynarodówki, mordując dwóch Niemców i ciężko raniąc trzeciego. Na miejsce wysłano specjalną jednostkę Guardia Civil, aby stłumić spontaniczny zryw solidarności. Polacy zabarykadowali się w willi, ale po 20 godzinach oblężenia skapitulowali z braku amunicji. Oddali się w ręce burżuazyjnego porządku. Trwa śledztwo, które – jak informują władze – ma wyjaśnić motyw i okoliczności. Co tu jeszcze wyjaśniać, kiedy wszystko jest jasne jak słońce nad Andaluzją.

▮ Weszło w życie rozporządzenie Rady Ministrów regulujące masową ewakuację ludności na wypadek wojny. Dokument szczegółowo opisuje, co mają robić samorządy wszystkich szczebli. Obywatele powinni przygotować się na 72 godziny samodzielnego życia z plecakiem: woda, leki, dokumenty, ciepłe skarpety. Co potem – rozporządzenie już nie precyzuje. Dokument nie wskazuje też, dokąd właściwie należy się ewakuować. Nie ma kraju, miasta ani nawet województwa. Jest tylko ogólna sugestia: tam, gdzie bezpieczniej. Jedno jest za to oczywiste: rząd – wraz ze złotem prezesa Glapińskiego – z pewnością ewakuuje się do Waszyngtonu, skąd będzie mógł z bezpiecznej odległości zarządzać skutkami nieszczęść, do których swoją krótkowzroczną polityką sam doprowadził.

▮ 5. Lubuski Pułk Artylerii z dumą ogłosił na Facebooku – medium strategicznie bezpiecznym, bo przecież żaden przeciwnik nie ma tam konta – że właśnie otrzymał kolejne elementy systemu Gladius. Ten wart 2 mld zł zestaw styropianowych dronów i „elementów dyskretnych" ma pozwalać naszym rakietom na trafienie zawsze, a wrogim nigdy. To oczywiście kolejna optymistyczna karta z kolorowanki pt. „Zbroimy się po zęby" rozdawanej obywatelom przez ministra Kosiniaka-Kamysza w ramach wieczornej terapii antylękowej. W tej narracji mamy haubice ze Stalowej Woli, betonowe zapory na granicy i pełną gotowość… do konwencjonalnej wojny, której nikt tu nie planuje prowadzić. Bo przypomnijmy: Rosja nadal ma największy arsenał nuklearny na świecie, a Polska w scenariuszach „obronnych" figuruje głównie jako teren działań niepożądanych, krótkich i intensywnych. Liczenie dronów i luf po obu stronach ma więc sens porównywalny z wyceną parasola podczas burzy z gradem meteorytów.

▮ Nie warto też jechać do Krakowa, nie tylko z powodu gołębi, które są w stanie obesrać wszystko i każdego. Miasto wprowadziło Strefę Czystego Transportu. Zakaz dotyczy aut „brudnych", czyli – według radnych – diesli starszych niż 12 lat i benzyn starszych niż 20. Ale spokojnie: jeśli ktoś takim autem jeździ, to znaczy, że ma pieniądze. Wystarczy zapłacić 2,50 zł za godzinę albo 100 zł miesięcznie i można kopcić dalej, ile fabryka rurze wydechowej dała. Oczywiście nie chodzi tu o czyste powietrze, tylko o dodatkowy podatek od biedy oraz stworzenie nowego, ekscytującego narzędzia represji mandatowej. Straż miejska już ostrzy długopisy.



Rys. JANUARY

▮ Władze Kurowa uznały, że skoro państwo nie dowozi obywateli do szkoły, pracy ani na pocztę, to zrobi to samorząd. Gmina uruchamia więc własny transport publiczny: pięć linii autobusowych i bilety po 1 zł. Zamiast 250 zł za miesięczny u prywatnego przewoźnika – teraz wystarczy ok. 40 zł. Mieszkańcy się cieszą – przynajmniej do momentu, gdy odkryją tę złotówkę w swoich podatkach. Prywatni przewoźnicy też się cieszą, bo przecież znajdą sobie inne intratne zajęcia. A jeśli program nie wypali, to – jak zapowiadają władze Kurowa – za rok dobrodziejstwo zostanie zlikwidowane. Sprawę transportu znów przejmą prywatni. O ile oczywiście nie zbankrutują, bo wtedy do łask wróciłyby furmanki. Logika polskiej władzy czy w ministerstwie, czy w gminie pozostaje bowiem mniej więcej taka sama. Objawia się brakiem sensu.

▮ Na ekspresówce S7 pod Mławą 49-letni kierowca Mercedesa z powiatu pabianickiego postanowił sprawdzić, czy niemiecka myśl techniczna wytrzyma 233 km/h. Niestety, polska policja też wytrzymała. Przy ograniczeniu do 120 km/h wynik robi wrażenie. Pan kierowca w nagrodę dostał 5 tys. zł mandatu i 15 punktów karnych. Policja przypomina, że nadmierna prędkość to główna przyczyna wypadków, wysokich mandatów i nagłych rozstań z prawem jazdy. A jak już dokument poleci, to jego odzyskanie bywa trudniejsze niż pierwszy egzamin.

▮ Tuż przed świętami Bożego Narodzenia w Witoszowie Dolnym (woj. dolnośląskie) 65-letni mężczyzna zmarł na miejscu w wyniku ran kłutych zadanych nożem. Przez kogo – nie wiadomo. Według wstępnych ustaleń mogła to być była żona ofiary albo obecna żona, albo nie jego żona lub ktoś zupełnie inny. Policja, idąc tym tropem, metodą szerokiego sita, zatrzymała trzy osoby. To – jak informuje – znacząco przybliża sprawę do prawdy. Na razie nikomu nie postawiono zarzutów, ponieważ pomylenie żony z byłą żoną lub nieżoną mogłoby mieć poważne konsekwencje procesowe. Choć dla ofiary różnica ta ma już wyłącznie charakter akademicki. Śledztwo trwa.

RJ

PS Informacje przedstawione powyżej pochodzą z prasy lokalnej, a więc ze źródeł bliskich obywatelowi, acz nie zawsze bliskich nieomylności. Uznaliśmy je za warte Państwa uwagi, co jednak nie oznacza, że muszą być absolutnie prawdziwe. Jeśli zatem coś się nie zgadza , to nie nasza wina. Ale jeśli się zgadza, to bardzo proszę: cieszmy się razem.

eprasa.pl 1fb3d366b7

Okresowy rachunek sumienia

Ćwierć wieku XXI wieku


Ilustr. PAWEŁ FERENC

Mało kto zauważył, że od roku 2000 – tego magicznego, po którym spodziewaliśmy się lotów na Marsa, pokonania raka i taniego kredytu – minęło już pełne 25 lat. Czyli ćwierć wieku. To jest moment na bilans, rachunek sumienia i kilka drastycznych porównań.

Bo oto ludzie, którzy zostali prokreowani w tę pamiętną noc noworoczną – gdy niebo miało zgasnąć, komputery wybuchnąć (pluskwa milenijna), a świat się skończyć – mają dziś 25 lat. Są relatywnie dorośli, przynajmniej metrykalnie. Niektórzy z nich mają dzieci, a inni TikToka z 2 mln. wyświetleń, co w dzisiejszym świecie uchodzi za większe osiągnięcie niż doktorat.

U progu tysiąclecia

Raczkuje kolejne pokolenie XXI w., czyli coś zupełnie innego. Im trzeba będzie tłumaczyć, do czego służyła budka telefoniczna, że z internetem gadało się przez modem „grrrrzziiiBIPBIPbrzzz… klik”. Że telewizory miały gałki i bywały czarno-białe i że telefon komórkowy był czymś, co się nosiło na pasku jak broń boczną, najlepiej marki Ericsson. Służył głównie do budowania statusu społecznego.

Będą musieli brać na wiarę, że dzisiejsze Biedronki, te luksusowe salony jak z czasów Pewexu (te szczyle nie mają pojęcia, co to był Pewex), przypominały obskurne hale po zamkniętym PGR-ze, w których na podłodze leżały paletki z cukrem. W tamtych czasach powiedzieć komuś, że jego matka robi zakupy w Lidlu, było obelgą, jakbyś mu zarzucił, że trzyma margarynę w barku albo ogląda reklamy telezakupów dla przyjemności. Lidl był niemiecki, a więc podejrzany, obcy i dla tych, co oszczędzają na jakości. Ongisiejsze sklepy wstydu dziś zostały świątyniami klasy średniej.

Na półkach królowały wtedy: piwo EB – napój wyzwolonej młodzieży, papierosy Klubowe i Mocne. Proszek do prania Pollena 2000 – tak agresywny, że prał nawet winy ojców (ociec, prać?). Pachniał amoniakiem, działał jak wybielacz i niszczył wszystko prócz bakterii. Filmy fotograficzne Agfa, Kodak, Fujicolor – nośniki wspomnień i rozczarowań. Kupowało się 36 klatek, z czego 12 wychodziło nieostrych, osiem prześwietlonych, a 16 z palcem na obiektywie.

W tamtych złotych latach transformacji samochód marki Daewoo Polonez wciąż uchodził za całkiem przyzwoite auto. Karta płatnicza była czymś w rodzaju artefaktu z Zachodu. Miało ją może 2 proc. populacji. A wypłata? Oczywiście, że w gotówce.

Minimalna pensja brutto 700 zł. Średnia krajowa 1800–1900, przeciętny Polak zarabiał „na rękę” 1350–1400 zł. Bochenek chleba kosztował około 1 zł, litr mleka 1,30 zł, benzyna 2,80 zł – czyli taniej niż dzisiaj butelka wody z elektrolitami.

Big Brother i notes Jarosława

Papież był nadal Polakiem. Prezydentem był Aleksander Kwaśniewski, który właśnie z dużą przewagą wygrał drugą kadencję. W telewizji rządził „Big Brother”, czyli program, który nauczył Polaków, że można patrzeć, jak inni siedzą, leżą i kłócą się o papier toaletowy – i czerpać z tego autentyczną przyjemność. Bohaterami masowej wyobraźni zostali Janusz (rocznik 1953, wygrał „Big Brothera”, nagroda: 500 tys. zł, został posłem na sejm, zginął w 2019 r. w wypadku samochodowym), Gulczas i Klaudiusz.

Lech Kaczyński (żył) pełnił funkcję ministra sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka. Jarosław Kaczyński, jeszcze bez teki, za to z notesem i pomysłem, właśnie kombinował nad czymś, co miało się nazywać Prawo i Sprawiedliwość. Donald Tusk nie był jeszcze „niemieckim agentem” ani „królem Europy”, ani nawet „zdrajcą wartości chrześcijańskich”. Był po prostu politykiem w garniturze z Vistuli, który próbował z uśmiechem wytłumaczyć społeczeństwu, że liberalizm nie jest złem wcielonym, tylko trochę jak jazz – nie każdy go rozumie.

O przystąpieniu do Unii mówiono jeszcze półgębkiem. Myślenie „ja, Europejczyk” wymagało niemałej cywilnej odwagi. Natomiast zdradziliśmy już Układ Warszawski, wraz z Węgrami i Czechami przystępując do NATO. Wszystko to wydarzyło się naprawdę. Serio! Nie żartuję.

Obywatel z kredytem

Od tamtego czasu zmarło w Polsce 10 mln ludzi, a urodziło się mniej więcej 7,5 mln nowych obywateli. To oznacza, że biologicznie jesteśmy już nieco innym społeczeństwem. Inne są twarze w autobusach, inne głosy w kolejkach, inne dzieci w szkołach. A wraz z nimi przyszła inna mentalność. Standardem stała się przynajmniej dwujęzyczność. Licencjat to absolutne minimum. Wakacje koniecznie za granicą (bo taniej, bo loty, bo all inclusive), a kredyt hipoteczny urósł do rangi obywatelskiego rytuału przejścia.

Dorosłość nie zaczyna się już od pracy ani nawet od dziecka, tylko od podpisu w banku. To może i nieco zmniejszyło problem głodu mieszkań, ale w zamian przywiązało wielu dorosłych na 30 lat do instytucji, które zaczynają rozmowę słowami „dzień dobry, w czym możemy pomóc?”, a kończą: „niestety, rata nie wpłynęła”.

Dla niektórych stres związany z mieszkaniem u rodziców – czyli wieczne „kiedy się ustatkujesz” i „po co ci te rośliny na parapecie” – został elegancko zastąpiony stresem z powodu wizyty komornika. Ten przynajmniej nie komentuje wystroju. Kiedyś martwiłeś się, że mama podsłuchuje przez drzwi. Dziś martwisz się, że bank nasłuchuje twojego konta. Wolność mieszkaniowa została wywalczona – na raty.

Globalizacja bez braterstwa

Spełniła się też przepowiednia globalizacji. Wszystko mamy z Chin, smartfony z USA, influencerkę z Islandii, kredyt z Niemiec, ubranka z Bangladeszu, a pizzę z aplikacji. Świat się skurczył do rozmiarów ekranu. Dostęp do wszystkiego stał się łatwiejszy niż dostęp do własnych myśli. Niestety, globalizacja nie przyniosła zbratania ludzi, tylko jednakowe opakowania. W gruncie rzeczy nadal jesteśmy społeczeństwem zamkniętym, mimo że „przyjaciel” z Niemiec, Tajwanu czy Chile jest oddalony o jedno kliknięcie na Facebooku. Znamy kuchnie świata, ale coraz gorzej znamy sąsiada z klatki.

Nikt się też nie spodziewał, że po wejściu do Europy zaczniemy się znowu dzielić jak za sarmatyzmu, tylko zamiast koni są memy, zamiast szabel wpisy na X (dawniej Twitterze), a zamiast sejmików ziemskich – komentarze pod artykułem, którego nikt nie przeczytał. Internet, który miał nas połączyć, połączył nas głównie w oburzeniu.

W XXI w. Polacy z jednej strony przeszli w tryb „ja – użytkownik, ja – klient, ja – marka osobista”, ale z drugiej strony wrócili do myślenia plemiennego z intensywnością godną wiejskiego wiecu w 1648 r. Każdy ma dziś własne konto, własną narrację, własną prawdę i własnego wroga, ale też chętnie przynależy do jakiegoś plemienia: narodowców, liberalnych euroentuzjastów, wyznawców Ordo Iuris, obrońców TVN-u albo obserwatorów kanału „MaturaToBzdura”.

Paradoks polega jednak na tym, że rosną ruchy narodowe, hasła o „zdrajcach” i „obcych” wracają do debaty publicznej, ale jednocześnie Chińczyk, Hindus, Arab czy Ukrainiec może spokojnie spacerować po mieście, zamówić burgera i pójść do Rossmanna bez obawy, że dostanie w mordę. Mamy w Polsce rasizm deklaratywny, ale tolerancję praktyczną. W sieci krzyczymy o czystości krwi, a potem kupujemy od Wietnamczyka sajgonkę, a od Turka kebab i mówimy „do widzenia”.

Ekologia na raty

Miała być tania energia, zielona przyszłość i innowacyjność. Jest drogie ogrzewanie, niepewność i kolejne panele fotowoltaiczne montowane na kredyt, który kosztuje więcej niż wydobycie węgla. Ekologia przyszła do nas nie jako wizja postępu, tylko jako rata miesięczna.

Medycyna XXI w. miała pokonać raka, zawały i wylewy. Tymczasem nowotwory mają się świetnie, zawały nie wychodzą z mody, a udary trzymają się tak mocno, jakby były częścią pakietu startowego dla każdego po pięćdziesiątce. No i przyszedł covid – choroba, która dowiodła, że mimo satelitów, skanów 3D i robotycznych operacji nadal jesteśmy bezradni jak pacjent bez karty chipowej w kolejce do specjalisty. Covid pokazał też, że nowoczesne choroby mają GPS i kartę pokładową – bo rozprzestrzeniają się między kontynentami z prędkością samolotów. Zaczynają się znikąd: z bazaru albo nietoperza, a kończą wizją apokalipsy.

Z czym więc sobie poradziliśmy? No, chociażby z młodzieńczym trądzikiem – dziś można go wyretuszować w czasie rzeczywistym – i z AIDS, który kiedyś był wyrokiem, a dziś jest niewygodną rubryką w ulotce leków refundowanych. Ale jeśli chodzi o implanty zębowe, to nadal pozostają kaprysem najbogatszych i najnaiwniejszych, którzy wierzą, że coś w ich życiu utrzyma się dłużej niż przez dekadę.

Żyjemy coraz dłużej, zwłaszcza kobiety, które i tak zawsze miały więcej cierpliwości do życia, lekarzy, recept i mężczyzn, którzy „nie pójdą, bo samo przejdzie”.

Atomowa ruletka

Wojna w Europie, która miała być tematem książek historycznych, okazała się jak najbardziej realna, z czołgami, dronami, rakietami i nagłówkami jak z kronik filmowych. Zagrożenie katastrofą nuklearną, które jeszcze w 2018 r. wydawało się nierealne – jak ogólnoświatowa pandemia – dziś znowu czai się w eleganckim garniturze medialnym. Nie mówi się o tym oficjalnie na Kremlu – żaden rzecznik nie wali pięścią w stół i nie zapowiada zagłady świata. Zamiast tego dostajemy przemyślane przecieki, okrągłe sformułowania, podszepty rosyjskich publicystów, że „wszystkie opcje są na stole”. Zachód w większości ignoruje te sygnały – przemilcza je, wyśmiewa albo zbywa jako propagandowe straszenie, które „przecież słyszeliśmy już sto razy”.

W efekcie żyjemy w świecie, w którym zagrożenie jądrowe nie znikło, tylko cicho wibruje jak telefon w trybie samolotowym.

Ćwierćwiecze wygody, ćwierćwiecze rozczarowań

Czy świat stał się lepszy przez te 25 lat? Żyje się w Polsce łatwiej niż w czasach argentyńskiej sprzedaży samochodów, kiedy kupowało się na zeszyt, tankowało za piątkę i pytało sąsiada, czy nie zna kogoś, kto zna kogoś w urzędzie. Mamy sklepy pełne rzeczy, których nie potrzebujemy, mieszkania, na których urządzenie nas nie stać, i auta hybrydowe, które parkujemy na zakazie, bo przecież zaraz wracamy.

Żyje się wygodniej, ale też trudniej zaimponować komuś luksusem, bo wszyscy mają to samo, z tej samej aplikacji, w tych samych ratach. Dostaliśmy wolność, która męczy. Dostęp do wiedzy, której nie mamy siły przeczytać. I technologię, która wiedziała o nas wszystko, zanim zdążyliśmy się zalogować.

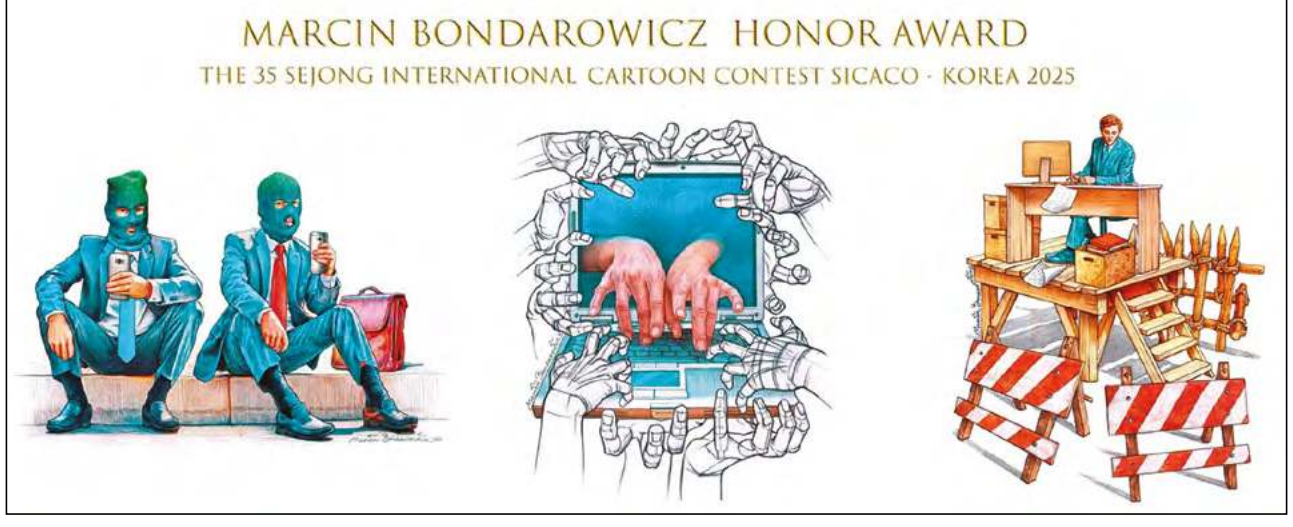
Czy przybliżyło nas to do poznania sensu życia – albo chociaż bezsensu? Bardzo wątpię. Fundamentalne problemy ludzkości nadal pozostają otwarte. Śmierć, miłość, podatki, Bóg, kosmos, praca i po co to wszystko? Nic się nie wyjaśniło. Więc czy świat jest lepszy? Może. Ale zdecydowanie lepiej udaje, że ma sens.

ROBERT JARUGA

Bondarowicz nagrodzony w Korei

Nagrodę Honorową 35. edycji prestiżowego Sejong International Cartoon Contest (SICACO) Korea 2025 przyznano Marcinowi Bondarowiczowi, rysownikowi stale współpracującemu z tygodnikiem „NIE”. Od 35 lat konkurs ten cieszy się olbrzymią popularnością i prestiżem wśród profesjonalnych rysowników i ilustratorów. Co roku na SICACO Korea wpływają dziesiątki tysięcy zgłoszeń z całego świata. Tematem tegorocznej edycji było: „AI, bezpieczeństwo informacji”. Marcin Bondarowicz do konkursu zgłosił trzy prace i to one jako cykl zdobyły zaszczytną Nagrodę Honorową.

– Sztuczna inteligencja szturmem wdziera się do naszego życia niemal każdego dnia. Każdy z nas w różnym stopniu korzysta z tej technologii w wielu codziennych zadaniach, czasem nawet nieświadomie. Wielu z nas nie zdaje sobie również sprawy, że AI zaczyna być bardzo często wykorzystywana jako narzędzie w wojnie informacyjnej. Na szczęście coraz więcej z nas rozumie mechanizmy działania sztucznej inteligencji, wie, jak się uczy i zbiera dane – mówi Marcin Bondarowicz i dodaje, że swój udział w konkursie uważa za głos w tej sprawie.



eprasa.pl 1fb3d366b7

Przepraszamy! Igrzyska odwołane!

Nie będę miał przyjemności oglądania igrzysk olimpijskich w Polsce. Nie tylko dlatego, że mam małe szanse przeżyć jeszcze 14 lat. Wątpię, żeby się odbyły.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Polska, a właściwie nie Polska, tylko jej obecne władze, chce zorganizować igrzyska olimpijskie w 2040 r. Nie zdziwiłbym się, gdyby podobne twierdzenia padały z ust polityków PiS w czasach, gdy partia ta dzierżyła władzę. Wówczas mania wielkości była jedną z naczelnych dewiz rządzących. W sporcie wyrażało się to łapaniem takich okazji jak organizacja igrzysk europejskich w Krakowie. Kosztowało to sporo (właściwie nikt dokładnie nie policzył ile), a pożytku z niechcianej przez nikogo imprezy było niewiele. Wcześniej imprezy szumnie nazywane igrzyskami europejskimi organizował Azerbejdżan, później białoruski Mińsk, a kto będzie po Krakowie – nie wiadomo, bo chętny się nie znalazł. Ich organizacja pozwoliła rządowi PiS na ogłoszenie, że jesteśmy potęgą, skoro możemy sobie pozwolić na igrzyska, a wicepremierowi Jackowi Sasinowi – po raz kolejny wykazać swoje nadzwyczajne zdolności organizatorskie.

Duma i marzenia

Gdyby o przeprowadzeniu igrzysk olimpijskich w 2040 r. opowiadał premier Mateusz Morawiecki, a temat nagłaśniała telewizja kierowana przez Jacka Kurskiego, nie byłoby się czemu dziwić. Ale że podobnie postępuje tzw. demokratyczna większość? Raz jeszcze się okazuje, że jedni warci są drugich. „To ma być budowanie dumy narodowej i spełnienie marzeń Polek i Polaków” – powiedział wiceminister na Stadionie Narodowym o planowanych igrzyskach. Nie był to żaden z pisowskich wiceministrów, ale Piotr Borys, młody działacz Platformy Obywatelskiej.

Nie twierdzę, że nie ma w naszym kraju zdolnych ludzi gotowych podjąć się organizacji wielkiej imprezy, choć nie wiem, czy akurat oni zajmują decyzyjne stanowiska. Ale taka impreza jak igrzyska olimpijskie to przede wszystkim olbrzymie koszty. Pozwolić sobie na nią mogą tylko bardzo bogate kraje, a my – choćby statystyki wskazywały na to, że gonimy czołówkę – na razie takim nie jesteśmy i w dającej się przewidzieć przyszłości nie będziemy.

Obyście nie musieli zobaczyć, co dzieje się na SOR-ach, gdzie chorzy ludzie na podłodze czekają na udzielenie pomocy lekarskiej. Obyście nie musieli zapisywać się na wizytę u okulisty, neurologa albo pojechać autobusem z gminy do powiatu. Naprawdę opowiadanie o organizacji igrzysk olimpijskich może tylko wkurwić ludzi, a nie wbić ich w poczucie wielkości i wyjątkowości naszego narodu. Mamy na co wydawać pieniądze, których wciąż jest mało i które stale musimy pożyczać.

W cieniu zbrojeń

Polska powinna się zbroić – to oczywiste. Niezależnie od tego, jak i kiedy skończy się wojna na Ukrainie, musimy mieć możliwość bronienia swojego terytorium, przynajmniej do czasu, gdy ktoś (kto?) mocniejszy przyjdzie nam z pomocą (miejmy nadzieję). Plany kosztownego wzmacniania armii muszą więc sięgać dalej niż hipotetyczny termin przeprowadzenia igrzysk olimpijskich.

Na razie nasi działacze mogą jeździć i obserwować, jak odbyły się igrzyska u innych. Minister sportu i turystyki Jakub Rutnicki złożył roboczą wizytę we Francji. Przy stole zastawionym kruchymi ciasteczkami spotkał się ze swoją odpowiedniczką Mariną Ferrari oraz prezydent Francuskiego Komitetu Olimpijskiego Amélie Oudéa-Castérą. Było miło. Nie szczędzono sobie komplementów. Jeśli chodzi o Francję, były one jak najbardziej zasłużone. Igrzyska olimpijskie w Paryżu przeprowadzono w imponującym stylu, ceremonia otwarcia imprezy długo będzie pamiętana jako niesamowite wydarzenie artystyczne przeprowadzone w oszałamiającym formacie.

„Nasze narody mogą dużo się od siebie nauczyć” – odwzajemniała się w uprzejmościach francuska ministra. „Oba kraje mają duże doświadczenie w organizacji wielkich imprez sportowych, wy macie sporą infrastrukturę”.

Mówiąc o wielkich imprezach, francuska minister mogła mieć na myśli piłkarskie mistrzostwa Europy w 2012 r. Co prawda nie byliśmy jedynym ich organizatorem, głównym była Ukraina, a od tego czasu minęło już parę lat, ale fakt jest faktem – mieliśmy piłkarskie Euro.

W Polsce zostało po tej imprezie sporo ładnych stadionów ze Stadionem Narodowym w Warszawie na czele. Czy Stadion Narodowy mógłby być główną areną igrzysk olimpijskich? Oczywiście wymagałby renowacji, bo choć ładny (kwesta gustu, mnie się podoba), jest już trochę przestarzały, a jego trybuny za małe jak na potrzeby igrzysk olimpijskich. Przydałby się stutysięcznik, a jego trzeba by było budować od nowa.

Infrastruktura jaka jest, każdy widzi

Jeśli chodzi o infrastrukturę, możemy pochwalić się orlikami, ale szkolne czy osiedlowe boiska piłkarskie na pewno nie mogą gościć olimpijczyków. Mamy nowoczesny tor do kajakarstwa górskiego w Krakowie i jeszcze coś by się znalazło. Wiele obiektów należałoby jednak wznosić od podstaw, a niektórych w ogóle nie bylibyśmy w stanie stworzyć. W naszych akwenach ryby pływają do góry brzuchem, trudno byłoby tam wpuszczać triatlonistów, nie mówiąc o pływakach długodystansowych, których można znów zapędzić na pływalnię. A co zrobić z surfingiem? Nie posiadamy terytoriów zamorskich, jak Francuzi, którzy mogli przenieść tę konkurencję na Polinezję Francuską.

Infrastruktura to nie jedyny, ani nawet główny problem. Żeby dostać prawo organizacji igrzysk olimpijskich trzeba mieć mocną pozycję w strukturach sportu. Kiedyś, za PRL, mieliśmy wielu Polaków w międzynarodowych władzach. Dziś rozglądam się i widzę tylko szefa Światowej Organizacji Antydopingowej Witolda Bańkę, który zresztą będzie miał znikomy głos, jeśli chodzi o przyznawanie prawa organizacji igrzysk. Decyzję podejmuje Międzynarodowy Komitet Olimpijski, a ściślej mówiąc, jego Zgromadzenie Ogólne liczące 111 członków. Można o ich przychylność zabiegać w różny sposób, z przeszłości wiemy, że w grę wchodziło także przekupstwo. Załóżmy jednak, że wszystko odbywa się uczciwie i głosujący kierują się przy wyborze wyłącznie zasadami Karty Olimpijskiej. Trzeba ich jednak przekonać, że to właśnie my najlepiej gramy tą kartą i nadajemy się do roli gospodarza.

Gdybym wiedział, jak poruszać się po korytarzach i przedpokojach sportowej dyplomacji, sam bym był dzisiaj działaczem i korzystał z wysokiej emerytury we frankach szwajcarskich, zamiast supłać z portfela w Biedronce to, co naliczył mi ZUS. Trzeba poznawać mnóstwo ludzi, zaprzyjaźniać się z nimi, popierać, kogo trzeba, a kogo innego niszczyć. I najważniejsze – nie wolno tracić z oczu tego co najistotniejsze. W dyplomacji zawsze jest coś za coś.

Podział kosztów i prestiżu

Argument, że „igrzyska mają być budowaniem dumy narodowej i spełnieniem marzeń Polek oraz Polaków” do nikogo nie przemówi, bo każdy kraj ma prawo powiedzieć o sobie to samo. Nie bez znaczenia jest polityka, i to nie tylko ta sportowa. Siła polskiego sportu z czasów zimnej wojny brała się nie tylko ze znakomitych wyników naszych zawodników (choć także i z tego). Oba współzawodniczące mocarstwa dążyły, aby równowaga zachowywana była nie tylko pod względem liczby głowic nuklearnych. W sporcie także były parytety: wy macie szefa w tej dyscyplinie, my będziemy mieli w innej. Dochodziły do tego kraje neutralne, czyli – jak je nazywano – niezaangażowane, którym także należał się kawałek tortu.

W tej chwili widzimy tendencję do rozgrywania mistrzowskich imprez jednocześnie w kilku krajach. Nasze Euro także dzieliliśmy z Ukrainą. Może to jest właściwa droga? Dotychczas igrzyska firmowane były nazwą jednego miasta (tak chciał baron Pierre de Coubertin), najbliższe zimowe mają w nazwie dwa miasta – Mediolan i Cortinę – choć rozegrane zostaną w kilkunastu często odległych lokalizacjach. Dlaczego nie zaproponować igrzysk w Polsce, Czechach, na Słowacji, jako we wspólnocie krajów środkowoeuropejskich?

Koszty podzieliłoby się na trzy, wiele obiektów byłoby gotowych, ale prestiż z organizacji igrzysk także dzieliłby się między kraje i zamieszkujące je narody. Dla polityków mogłaby to być zbyt wysoka cena.

Nie mam pojęcia, jak ta sprawa wygląda obecnie. Znany nam porządek świata przewraca się z dnia na dzień. Rosja wykluczona jest ze sportowej rywalizacji, ale wiele wskazuje na to, że przywrócona zostanie do niej lada moment. Do gry weszły naftowe kraje arabskie z sumami pieniędzy, o jakich innym nawet się nie śni. Arabowie także chcą „budowania dumy narodowej i spełniania marzeń Arabów”. Dobrze by było, żeby w tych trudnych czasach polskim sportem kierowali ludzie, którzy się na tym znają, a nie partyjni nominaci.

Mistrzostw nie będzie

Lekkoatletyczne mistrzostwa Europy miały odbyć się w Chorzowie w 2028 r., co było naszym powodem do wielkiej dumy. Tym bardziej że nad Wisłą nigdy nie organizowaliśmy zawodów tej rangi na otwartym stadionie. Wiadomo, to jedna z najważniejszych imprez w sporcie, a kraj, który dostąpił zaszczytu jej goszczenia musi być godny podziwu i zazdrości. Było sporo szumu w środkach masowego przekazu. Polskie media pisały, że fakt przyznania nam mistrzostw jest jeszcze jednym dowodem na to, jak bardzo liczymy się w lekkoatletycznym świecie.

To nic, że z igrzysk olimpijskich przywieźliśmy jeden brązowy medal w lekkoatletyce, a z mistrzostw świata też jeden, za to srebrny, który wywalczyła w skoku wzwyż startująca w naszych barwach Białorusinka Maria Żodzik. Jesteśmy potęgą i basta, najlepszym dowodem przyznanie nam prawa zorganizowania mistrzostw Europy.

Teraz impreza została naszemu krajowi odebrana, czym już tak głośno się nie chwalimy. Przyczyną odebrania Chorzowowi prawa goszczenia najlepszych lekkoatletów naszego kontynentu jest brak gwarancji finansowych. Obecnie obowiązek zapewnienia zawodnikom nagród pieniężnych spoczywa na organizatorze (wcześniej tak nie było), co podnosi koszt przeprowadzenia imprezy o jakieś 2–3 mln euro. To wymagałoby kolejnych uzgodnień z polskim rządem i z regionem Śląska. A ponieważ chęć przeprowadzenia mistrzostw Europy w tym samym terminie zgłosił Belgrad, postanowiono odebrać prawa Chorzowowi.

Z tym przypadkiem powinni zapoznać się wszyscy, którym marzą się igrzyska olimpijskie w Polsce. W deklaracjach i ambicjach jesteśmy mocni, ale co z realiami? Ciekawe, że w 2028 r., w którym miały odbyć się chorzowskie mistrzostwa i których organizację nam odebrano, może być już jasne, czy Polska dostanie igrzyska olimpijskie. Myślę, że nie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 29.12.2025 r.

eprasa.pl 1fb3d366b7

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Dzień dobry – powiedział Sławomir Mentzen, lider Nowej Nadziei.

– Dzień dobry – odpowiedział Krzysztof Bosak, lider Ruchu Narodowego.

Grzegorz Braun, lider Konfederacji Korony Polskiej, nie odezwał się, choć na końcu języka miał swoje słynne: Szczęść Boże.

– Nowy rok – zauważył Mentzen. – Dobry czas, żeby porzucić waśnie.

– Zgoda buduje, niezgoda rujnuje – dodał banalnie Bosak.

Wydawało się, że Braun zmełł w ustach słowo powszechnie uchodzące za wulgarne.

– Nadchodzi nasz czas – ucieszył się Mentzen. – Jeśli uda nam się wykorzystać słabość Kaczyńskiego, to czeka nas świetlana przyszłość. Kto wie, może już za dwa lata…

– W najbliższych wyborach powinniśmy zyskać na tym, że pisowcy wzięli się za łby. – Bosak roześmiał się radośnie.

Braun nadal milczał. Jego dwaj byli przyjaciele zastanawiali się, czy jest to milczenie taktyczne, czy może eurodeputowany odgryzł sobie język.

– Nie musimy udawać gorącej przyjaźni – skrzywił się Mentzen – ale też nie wolno nam okazywać sobie wrogości. Nie ma wroga na narodowej prawicy.

– Gramy do tej samej bramki – dorzucił Bosak, znowu tak banalnie, że aż bolały zęby.

Obydwaj spojrzeli na Brauna z nadzieją, lecz Braun nie odzyskał głosu. Wpatrywał się tylko coraz uważniej w niepewne twarze byłych towarzyszy.

– Ludzie mają już dość tych wszystkich Kaczyńskich, Morawieckich i Ziobrów – oznajmił Mentzen. – Jeśli nie będą pewni, że mają na kogo głosować, zostaną w domu…

– …albo co gorsza zagłosują na Tuska. – Bosak uzupełnił hipotezę Mentzena.

Braun pokiwał głową. Mogło to wyglądać na milczącą zgodę, ale też na tik nerwowy.

– Zgadzasz się, Grzegorz? – nie wytrzymał Bosak, a Mentzen z wrażenia aż wstrzymał oddech.

Braun zignorował pytanie.

– No dobrze, skoro taka jest twoja odpowiedź… – Mentzen nie potrafił ukryć rozczarowania.

– Musisz tylko pamiętać, że jeżeli czegoś razem nie zrobimy, to historia nam tego nie wybaczy – do truizmu Bosak dodał patos.

– Ruch narodowy stoi przed niebywałą szansą, ale… – Mentzen chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tylko machnął ręką.

– Ech… – Bosak westchnął zrezygnowany. – No to cześć.

– Cześć – powtórzył Mentzen.

I odeszli.

Gdy znaleźli się dostatecznie daleko, Braun wyjął smartfon, wybrał numer i wyszeptał:

– Szczęść Boże. Tak jak mówiłem, są ciency jak dupa węża. Jeśli przetrzymamy ten ich naiwny entuzjazm, to będą nam z ręki jeść.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



W Nowym Roku **JOANNA SENYSZYN** i **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** zastanawiają się, co niesie przyszłość. Nie, żeby były oryginalne.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Senyszyn: – 63 proc. Polek i 45 proc. Polaków regularnie sprawdza horoskop.

Wołk-Łaniewska: – Serio? Prawie dwie trzecie kobiet?

– Owszem. Ty, jak rozumiem, jesteś w tej pozostałej jednej trzeciej? I pewnie nie masz żadnego udziału w rynku usług ezoterycznych, który jest wart 3 mld zł rocznie?

– Jakie trzy?! 20!

– Dlaczego akurat 20?

– No bo 3 mld na wróżki i 17 na klechów. Tak to się mniej więcej szacuje: kościelna działalność gospodarcza, plus taca, plus kasa wydojona z różnych cycków państwa – w sumie budżet Kościoła kat. w Polsce to 17–18 dużych baniek. Zaryzykuję stwierdzenie, że wydatki państwa i obywateli na papizm mieszczą się w rynku usług ezoterycznych…

– Jak tak na to spojrzeć, to masz rację. Ale ja dziś chciałam pogadać o tej drugiej ezoteryce. Tej, która na pytanie: „co będzie”, nie odpowiada: „co bóg da”, tylko hojnie serwuje horoskopy i przepowiednie, które homosapiensy łykają jak pelikany, co skądinąd każe wątpić w rozumność przypisaną naszemu gatunkowi…

– W odróżnieniu od pelikanów, które mają wysokie zdolności adaptacyjne, zwłaszcza jeśli chodzi o wykradanie jedzenia ludziom… To, co mnie naprawdę smuci, to fakt, że to łykanie wróżb dotyka wszystkich, także racjonalistów. Na którymś Zlocie Ateistów Andrzej Dominiczak mówił o tym, że Czesi – najbardziej ateistyczny naród UE – wydają najwięcej per capita na wróżki i innych szarlatanów. Co nieco zaburza mi wizerunek Czechów…

– Wykażmy się wszakże wyrozumiałością. Popularność horoskopów wynika z naturalnego pragnienia poznania przyszłości. I jest utwierdzana przez ich celową ogólnikowość i niejednoznaczność, które stwarzają iluzję skuteczności i odkrywania prawdy. Zamiast poznawać swoje mocne i słabe strony oraz szanse i zagrożenia łatwiej czytać horoskopy i słuchać wróżb.

– No bo jak się ludziom – a zwłaszcza kobietom – mówi od małego…

– Małej.

– Niech będzie: od maleńkości, że nie mają żadnych mocnych stron, to one potem zdają się na los z desperacji. I stąd taka przewaga czytelniczek horoskopów nad czytelnikami: chłopakom w Polsce znaczna część matek wkłada do głowy, że słońce im z dupy świeci. Jak to w patriarchacie.

– Prawda. Wracając do tematu: wobec tej powszechnej potrzeby poznania przyszłości przygotowałyśmy horoskop dla naszych Czytelników. Ze względu na postępującą globalizację jest on uniwersalny, jednakowy dla całej ludzkości.

– Bo dlaczego nie?

– Dokładnie. Wiara, że 8 mld homosapiensów jest do siebie podobnych i czeka ich to samo, jest bowiem równie uzasadniona – lub absurdalna – jak przekonanie, że taka zbieżność jest związana z każdym z 12 znaków zodiaku, a więc dotyczy jednej dwunastej ludzkości…

– 666 mln ludzi.

– I do tego zmienia się co roku.

– A poza tym, horoskop uniwersalny to znacznie mniej roboty…

– A więc tak: Kochani Czytelnicy „NIE”! Jesteście wspaniali, ale nie zawsze dostrzegacie swoje zalety. Lubicie czytać nasze dialogi, co świadczy o błyskotliwej inteligencji i poczuciu humoru. Pragniecie pokoju i spokoju. Bywa, że się denerwujecie, wdajecie w kłótnie, martwicie na zapas, ale nikt nie jest doskonały. W 2026 r. i wszystkich następnych latach czekają Was radości, smutki, wesela, pogrzeby, spotkania rodzinne i towarzyskie, awanse i zmiany pracy. Uważajcie na zdrowie, finanse, samochody, dzieci. Wystrzegajcie się wypadków, chorób, błędów, za mocnych trunków, fałszywych przyjaciół i złych inwestycji. Pielęgnujcie kwiaty, miłość i przyjaźnie. Pomagajcie sobie i innym. Lepiej wykorzystujcie swoje talenty i możliwości. Dawajcie, kiedy jesteście proszeni, bierzcie, kiedy dają, i uciekajcie, kiedy biją.

– A jak dla kogoś horoskop Joanny jest zbyt szczegółowy, to proponuję sens życia według Monty Pythona: starajcie się być mili dla ludzi, unikajcie tłustych potraw, od czasu do czasu przeczytajcie dobrą książkę, pójdźcie na spacer i próbujcie żyć w pokoju i harmonii z ludźmi wszystkich wyznań i narodowości. W zasadzie zgadzam się ze wszystkim, z wyjątkiem tych tłustych potraw. Tłuszcz ma zły PR, ale to węglowodany są szkodliwe. I do tego zupełnie zbędne. Na przykład w Białymstoku piłam genialny kompot z wiśni z goździkami, zupełnie bez cukru…

– Wołku, chyba nieco odbiegasz od tematu.

– Wiem. Ale chciałam pochwalić kompot. W każdym razie: bardziej szczegółowe horoskopy tworzymy za specjalną opłatą, po wypełnieniu 40-punktowego kwestionariusza.

– A dlaczego akurat 40-punktowego?

– A tak mi się skojarzyło z testem NPI – Narcissistic Personality Inventory, czyli Inwentarzem Osobowości Narcystycznej Raskina i Halla, opracowanym w 1979 r., który zawierał 40 pytań…

– Znowu nieco odbiegasz… Ale skoro już się zgadało: co ci wyszło w tym teście na narcyzm?

– 25 na 40. Nisko punktuję na skali autorytaryzmu, ekshibicjonizmu i poczucia, że mi się wszystko należy – za to wysoko w obszarze próżności. Najbardziej podobało mi się pytanie: „myśl o rządzeniu światem mnie przeraża” kontra „świat byłby lepszy, gdybym nim rządziła”…

– Oczywiście, że by był.

– Gdybym ja nim rządziła?

– Nie, gdybym ja.

– Ale to ja od dawna mówię o tym, co zrobię, jak już zostanę dyktatorem świata: zakażę rynku akcji, sportu zawodowego, komercyjnej służby zdrowia…

– I wszystkich rozśmieszasz wiarą, że świat będzie lepszy, jak to, co uważasz za zło, zejdzie do podziemia.

– Podziemia też zakażę. W każdym razie: już w nowym wieku badacze z Ohio State University odkryli, że 40 pytań Raskina i Halla to marnowanie czasu i energii, bo wystarczy zadać jedno: „Czy jesteś narcyzem”? I narcyz odpowiada „tak”, bo się tego nie wstydzi.

– No i widzisz? Znowu wychodzi na moje: nie potrzebujemy 40 pytań w kwestionariuszu do naszego horoskopu, wystarczy, że zapytamy: „czego chcesz od życia?”. I potem zapowiemy to w horoskopie.

– Za odpowiednią opłatą, jak przystało na zawodowe wróżki. No dobra, a teraz serio: czy jesteś optymistką? W kwestii roku 2026?

– Zawsze i wszędzie. Będziemy żyć w pokoju i spokoju, ale pod warunkiem, że sami je sobie zapewnimy. Rok 2026 będzie lepszy od 2027, a zwłaszcza od 2028, chyba że Nowa Fala zmobilizuje elektorat i nie pozwoli na powrót PiS do władzy. Nasze hasło na nadchodzące 12 miesięcy: tak dla „NIE”!

– Absolutnie! Ale ja jeszcze na koniec chciałam skontrować twój nieco ironiczny optymizm swoim prawdziwym. Otóż ja naprawdę uważam, że ten rok będzie lepszy – nie od następnych, ale od czterech poprzednich. Nie wiem, czy będzie lepszy w Polsce – nie widzę żadnej refleksji w żadnym z pałaców – ale myślę sobie, że wojna na Ukrainie naprawdę może się skończyć.

– Uwierzyłaś w Trumpa? Kto by się spodziewał…

– Dobra, wiem, że uznawanie narcystycznego socjopaty z demencją za gołąbka pokoju jest śmieszne – ale w wyniku zbiegu dziwacznych okoliczności może on okazać się częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, uczyni dobro. Będziemy o tym pisać i rozmawiać wiele razy – ale na razie: zdrowie Mefistofelesa!

– Oraz nasze, czyli Polski, świata i galaktyki! Zwłaszcza galaktyki, bo bułgarska niewidoma jasnowidząca Baba Wanga przewidziała, że w listopadzie 2026 r. na Ziemię przybędą kosmici.

– Za kosmitów też wypijemy.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 1fb3d366b7